№ 44. Warszawa, dnia 1 Listopada (20 Października) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Chybiony manewr.

Naprzód opowiedzmy sprawę chronologicznie.

D. 19 października pojawiła się w *Wiener Allg. Zeitung* depesza z Berlina, streszczająca doniesienie *Berl. Tagblattu* z Wiednia, że przymierze austro-niemieckie nie zostało odnowionem. Tymczasem —jak się później okazało — *Berl. Tagblatt* ani 18, ani 19 października wcale tego doniesienia nie zamieścił; widocznie zatem posłano mu je z Wiednia i przypuszczając, że wydrukowanem będzie, sfabrykowano telegram.

Biało nici wylazły i w drugim szwie. Tegoż dnia 19 października *Czas* wydrukował korespondencyę z Wiednia, *Pester Lloyd* zaś depeszę z Krakowa pod datą 18 października (a więc przed ukazaniem się korespondencyi) podobnej treści. Z porównania dat wynika jasno, że w Wiedniu powzięto zgodną, czy niezgodną z istotnym stanem rzeczy myśl rozgłoszenia przed światem, że sojusz austro-niemiecki ustał. Niezręczność przy puszczaniu tej wieści w kurs zdradziła jej pochodzenie i dała półurzędowemu *Fremdenblattowi* w rękę broń, którą on zranił schwytane na gorącym uczynku gazety, a między innemi i *Czas*. Dziennik krakowski uroczyście zaprzysiągł swą niewinność. Powiada, że nie miał zamiaru niepokoić zewnętrznych stosunków państwa, że jego wywody były czysto „akademickie." „Inaczej bowiem — zaręcza on — bylibyśmy zabronili sobie i tej przedmiotowej pracy publicystycznej." Niewątpliwie przyjacielski *Fremdenblatt* za cenę skruchy żal ten mu odpuści, ale nie odpuściła go *Nord. Allg. Zeitung*, która — co łatwem było do przewidzenia — uderza zaraz maczugą polaków, którzy, według niej, usiłują koniecznie sprowadzić nieporozumienie między trzema mocarstwami. „Gdy propagandzie polskiej — mówi organ kanclerski — przecięto inne drogi burzenia opinii publicznej, wyzyskuje ona plotki."

Chociaż redakcya *Czasu* posypała głowę popiołem, jej korespondent wiedeński, bardziej zbliżony do źródła, z którego alarmująca wiadomość wypłynęła, nie stracił animuszu i stanowczo zaręczył za jej wiarogodność.

Oto jego rozumowanie, które *Kuryer warszawski*, nadający sobie czasem minę wysoce dyplomatyczną a obecnie roszczący prawo do pierwszeństwa w odkryciu ustania austro-niemieckiej unii, jako swoje przedrukował.

Hr. Kalnoky objął ster polityki zagranicznej z tem przekonaniem, ażeby po upływie terminu przymierza piśmiennego, wyłącznego, z Niemcami nie odnawiać — a to z powodów następujących. Przymierze takie musiałoby, prędzej czy później, doprowadzić do starcia z Rosyą, którego skutki nawet przy pomyślnym obrocie wojny przedstawiałyby dla Austro-Węgier niebezpieczeństwo...

Czy taki jest, czy inny rodowód zjazdu skierniewickiego naturalnie rozstrzygać nie możemy. Ale ta zagadka nie przedstawia wielkiej wagi. Główny punk ciężkości w powyższem rozumowaniu pada na wynik normujący obecne stosunki międzypaństwowe, na nieodnowienie wyłącznego sojuszu austro-niemieckiego. Zauważyliśmy już poprzednio w „Tygodniu politycznym," że czy Austryę wiąże z Niemcami traktat piśmienny lub ustny, podwójny lub potrójny — to jest kwestya mogąca zajmować tylko dyplomatów i dziennikarzów, uprawiających scholastykę polityczną. Dla narodów, dla prywatnych obserwatorów w *każdym* razie na dziś jest niewątpliwym faktem, że trzy sąsiednie mocarstwa pozostają z sobą w przyjaźni i porozumieniu i że ten ich związek będzie regulował wypadki przyszłości najbliższej.

Zaznaczając ów fakt, opadający jak osad na dno wszystkich dziennikarskich roztworów, możemy tylko hypotetycznie sądzić, czy puszczona z Wiednia i tak skrzętnie z obiegu wycofana wiadomość o przecięciu unii austro-niemieckiej jest prawdziwą. Zdaje się, że tak, a za najbardziej potwierdzający dowód służy właśnie rozdrażnienie austryackiego ministeryum spraw zagranicznych, ujawnione w gorzkim artykule *Fremdenblattu*. Stara to reguła, że w oczy kole prawda. Hr. Kalnoky mógł nie chcieć pisanego kontraktu z Niemcami, ale ma wiele powodów pragnąć, ażeby Europa w istnienie tego kontraktu wierzyła. Wykradziono mu tajemnicę — *inde ira*. Kto wykradł? Zapewne nie polacy, którzy za daleko stoją w Wiedniu od głównego ołtarza, ale zdradziło go i podzieliło się z nimi wiadomością stronnictwo, które krzyżuje jego plany.

POSTACIE RODZINY.

Nowsze badania socyologiczne wykazały dostatecznie zmienność i historyczny rozwój form stosunków rodzinnych. Jednakże w poszukiwaniu ogólnego wzoru przeobrażeń nie zwrócono dostatecznej uwagi na to, że ów rozwój nie odbywał się po jednej linii, więc, że istniejące dzisiaj formy rodziny nie koniecznie są historycznemi zmianami pewnego typu, ale mniej lub więcej rozwiniętymi typami różnych ukształtowań stosunków rodzinnych. Podówczas, gdy kumoszki tylko i warszawscy dziennikarze zachowawczych przekonań wystawiają sobie, że według teoryi ewolucyonizmu wszystkie np. żyjące gatunki stanowią szereg stopniowych przeobrażeń jednego typu, przy stosowaniu tejże teoryi do badań społecznych tak pospolity błąd popełniają na-

wet uczeni. Zbadanie więc szczegółowe wszystkich dzisiaj istniejących form związków rodzinnych staje się dla socyologii kwestyą niezmiernej wagi.

Dodać należy, że rodzina jest nie tylko społecznym, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, ale i ekonomicznym związkiem a historyczno-porównawcza metoda nabiera coraz większej doniosłości przy badaniu zjawisk ekonomicznych. Dotyczas jeszcze dla braku danych nierozstrzygnięty został spór zwolenników zbiorowego i osobistego władania ziemią, spór, mający dla nas bardziej teoretyczne znaczenie, ale poruszający (w Rosyi np.) najbardziej żywotne interesy ludu, który polega na tem, czy własność gminna u wielu ludów, zwłaszcza słowiańskich, upadła pod wpływem nieprzyjaznych zewnętrznych okoliczności, czy też zarodki upadku kryły się w niej samej? Stąd rodzi się drugie pytanie: czy pra-stara gmina rodzinna, ród, zadruga, z której drogą dalszego rozwoju przy sprzyjających warunkach powstać mogła gmina terytoryalna (jak np. rosyjska *obszczyna*) nie jest właściwą ludom słowiańskim formą rodzinnych stosunków, zmienioną a raczej skrzywioną wpływami germano - rzymskiej kultury, której jednak zasadniczo cechy przechowują się do dziś dnia ukryte głęboko w pojęciach ludu, niezbadane, a więc nieraz najfałszywiej tłomaczone? Jaskrawy przykład takiego niezrozumienia stanu rzeczy, błędnego pojmowania, utrwalonego nietylko w prawodawstwie, ale i w literaturze, przytacza prof. Bogiszić (Bogišić) znakomity znawca praw i obyczajów południowej słowiańszczyzny *). Okoliczność ta tem bardziej zasługuje na uwagę, że ustrój rodziny wiejskiej u słowian południowych oddawna już stał się przedmiotem badań wielu uczonych i posiada bardzo bogatą literaturę.

Powszechnie dotąd rozróżniano cztery główne formy serbsko-kroackiej rodziny:

1) *Zadruga* (forma najbardziej zbadana), to jest gmina rodzinna wiejska, składająca się z kilku braci lub krewnych z żonami i dziećmi.

2) *Inokoština* (inokosna) pojedyncza rodzina wiejska złożona zwykle z ojca z żoną i dziećmi.

3) Rodzina miejska, ukształtowana według zwykłego (rzymskiego) typu europejskich rodzin miejskich, pod względem składu przypominająca inokosztinę.

4) Rodzina muzułmańska (poligamiczna).

Patryarchalna rodzina miejska stanowi zupełne przeciwieństwo *zadrugi*. Ojciec rozporządza własnością bez zezwolenia innych członków, również za życia, jak i w wypadku śmierci, w tym ostatnim o ile prawo państwowe nie krępuje jego woli. Pozostaje on głową rodziny nawet wtedy, gdy siły go opuszczają i nie może być pozbawiony zwierzchnictwa i zarządu gospodarstwem. Ponieważ rozporządza dobrami rodziny, „auctoritate propria“ może podzielić je za życia, ale nie może być do tego zmuszony. Można wszakże przyjąć za regułę, że podział majątku następuje dopiero po śmierci ojca rodziny a następuje koniecznie, gdyż z chwilą jego zgonu rodzina przestaje istnieć. W zadrudze dzieje się przeciwnie: głowa rodziny nie może rozporządzać majątkiem bez zezwolenia dorosłych członków, tem samem nie może przekazywać wspólnego majątku przez testament. Ulega on zawsze zmianie, jeżeli inni członkowie tego życzą. Każdy mężczyzna uczestnik zadrugi według zwyczaju ma prawo żądać wydziału swej części z wspólnego majątku. Po śmierci głowy rodziny inny zastępuje jego miejsce, podział majątku nie jest obowiązujący i zadruga istnieje dalej. Nie potrzeba chyba dodawać, że właścicielem wspólnego majątku nie jest głowa rodziny, ale zadruga jako osoba zbiorowa.

Wszakże oprócz zadrugi istnieje inna jeszcze forma rodziny wiejskiej—inokosztina, pod względem zewnętrznym podobna, jeżeli nie identyczna, z rodziną wiejską. Za taką uważali ją uczeni badacze i prawnicy, w ślad za nimi poszli prawodawcy, tymczasem w rzeczywistości rzecz przedstawia się wcale inaczej. Nie dziwnego, że na obcych uniwersytetach kształceni prawnicy, zresztą z natury swych studyów skłonni do zwracania uwagi na stronę zewnętrzną, formalną, nie dostrzegli zasadniczych różnic a błąd ten popełnił taki nawet znawca życia ludowego, jak Wuk Karadzić. Prawodawstwo w krajach należących do Austryi, dążące do jednolitości i centralizacyi, nie uwzględniło również tej różnicy, a nawet kodeks serbski, kształtowany na obcych wzorach, powtórzył to samo poglądy. P. Bogiszić daje wyczerpującą analizę stwierdzających „communam doctorum opinionem,“ ale dotyczących tej kwestyi przepisów prawa, specyalnych jego wywodów przytaczać nie możemy. Tymczasem dokładne zbadanie inokosztiny, zwłaszcza osobiście dokonane przez autora w Czarnogórzu, gdzie wielkie zadrugi są dziś dosyć rzadkie, wykazuje:

1) Ojciec, mieszkający razem z dorosłymi synami, nie ma prawa bez ich zezwolenia rozporządzać rodzinnym majątkiem.

2) W inokosztinie, ojciec, jeżeli nie nastąpił podział majątku nawet „mortis causa,“ nie może również tego uczynić.

3) W rodzinie tego typu ojciec jest zwykle zwierzchnikiem i zarządza gospodarstwem, ale w ważnych sprawach radzi się synów. W razie niewłaściwego spełniania obowiązków może być usuniętym i zastąpionym przez jednego z synów.

4) Synowie dorośli, zwłaszcza żonaci, mogą żądać wydziału swej części. W tym razie siła zwyczaju jest tak wielką, że wbrew postanowieniom pisanego prawa, nawet sądy nakazują podział majątku, przyczem ojciec bierze równą część z synami.

5) Po śmierci ojca synowie żyją zwykle razem i prowadzą wspólnie gospodarstwo, to jest inokosztina z rozrostem rodziny zmienia się w to, co powszechnie nazywają zadrugą.

Słowem inokosztina przedstawia widocznie ten sam charakter, co i zadruga, różnica jest ilościową tylko i zwykle czasową, bo każdą prawie inokosztinę uważać można za zawiązek przyszłej zadrugi. Większa władza naczelnika rodziny tłomaczy się tem, że jest on zarazem ojcem, i w rodzinie miejskiej np. ojciec, który byłby zarazem opiekunem dzieci posiadających własny majątek, ma większy wpływ aniżeli zwykły opiekun. Badania Utieszenowića, Cvetovića i innych potwierdzają prawdziwość tego poglądu, jeżeli by najlepszy znawca praw i obyczajów południowej słowiańszczyzny potrzebował poparcia cudzej powagi. Inokosztina więc jest formą rodziny wiejskiej, również daleką jak i zadruga od typu zindywidualizowanej rodziny, formą właściwą ludowi, który utrzymuje, że syn jest zawsze tylko „zadrugar“ swojego ojca. Zresztą obie te nazwy *zadruga* i *inokosztina* w języku ludowym nie istnieją wcale, a przynajmniej dla oznaczenia tych pojęć, jakie im nadają prawnicy. Rodzinę bądź to prostą, bądź złożoną lud nazywa wyrazem *kuća* (co odpowiada bulgarskiemu *keszta* i słowu *hiża* używanemu w niektórych miejscowościach Kroacyi i dosłownie znaczy dom, budynek). Określając zaś ilościową różnicę mówi się *kuća*

*) *De la forme dite Inokosna de la famille rurale chez les serbes et les croates.* Paryż 1884.

CO KTO LUBI.

Obrazek z życia dziennikarskiego

przez

REWERĘ.

Byłem wówczas współpracownikiem *Zapału*.

Maj to był jeszcze, ale dzień taki skwarny wyłonił się z szarych objęć nocy, że po raz pierwszy, jak zapamiętam, nie zacierałem rąk w ciemnym, zatęchłym i wiecznie zimnym lokalu naszej redakcyi. Ku południowi upał był już nie do zniesienia, a że dnia poprzedniego wzięliśmy udział wszyscy, ilu nas było, w jakiejś biesiadzie i bawili się do północy —resztki ochoty do pracy odbiegły nas dość wcześnie, tak, że o godzinie jedenastej pióra nasze leżały już odłożone na boku, a my w pozach, jaka któremu była najdogodniejszą — niektórzy z nogami na biurkach — oddaliśmy się najsłodszej ze wszystkich w razie takim słodyczy — gnuśnej, ale przyjemnej bezczynności... O pisaniu i wydaniu gazety nie myślał z nas żaden.

Dolce far niente nasze nie trwało jednak długo. Wojtek — tak zwaliśmy potocznie metrampaża — który daremnie przysyłał chłopaka trzy razy po rękopisy, przyszedł wreszcie sam i aż za głowę złapał się biedaczysko, ujrzawszy nas z całym spokojem pogrożonych w próżniactwie, jak gdybyśmy co najmniej dwa numery gazety zapełnili.

— Rany boskie, panowie — zawołał — pół do dwunastej, a ja mam dopiero jedną kolumnę! Gdzież rękopisy na drugą i trzecią?...

Kiedyindziej, ale przy niższym stopniu temperatury, odezwanie się takie redaktora technicznej strony pisma pobudziłoby nas do tem szybszej pracy, im bliższą byłaby fatalna godzina zamknięcia dziennika. Tym razem jednak popatrzyliśmy na Wojtka z nietajonem zdziwieniem. Byliśmy jeszcze w stanie myśleć, ale władza zdrowego sądzenia uleciała gdzieś daleko, poza obręb komnaty naszej redakcyjnej, co się zresztą przytrafia i w innych pismach i nietylko w czasie upałów...

— A bójcież się Boga, panowie, kiedyż numer wyjdzie? — powtórzył w odmiennej formie pytanie swoje mistrz drukarski.

Nie chwaląc się, byłem zawsze człowiekiem grzecznym i na każde pytanie, choćby grubiańskie, odpowiadać zwykłem — bodaj milczeniem. Cóż dopiero, jeżeli mnie ktoś zagadnie o rzecz natury (sądziłem wówczas) tak obojętnej, jak np., kiedy dziennik wyjdzie... Z drugiej jednak strony, cóż to mnie, albo kogokolwiek obchodzić może? Nie wyjdzie gazeta dziś, to wyjdzie jutro!... Odpowiem przecież. Zebrałem więc wszystkie siły, chcąc atoli zyskać na czasie, przeciągałem umyślnie każdą sylabę.

— Kie-dy nu-mer wyjdzie?... —odezwałem się, powtarzając pytanie metrampaża.

Zdało mi się wtedy, że jeżeli w niebie rozdają nagrody za względy towarzyski i ujmujące obcowanie z ludźmi, to ja powinienem dostać pierwszą. W tem błogiem przekonaniu o swojej doskonałości przymknąłem oczy i oglądając się wewnątrz, niewymowną czułem rozkosz, że mam duszę tak piękną. Ale, mój Boże!... Zaginając parol na królestwo niebieskie, zapomniałem zupełnie, że znajduję się na ziemi, która, jak z Biblii wiadomo, w całej jednej połowie przepisaną jest przecież na szatana. Ma też dlatego zły duch wielu zwolenników między ludźmi, do których zaliczyłem wówczas bezwarunkowo także naszego metrampaża. Zaledwie bowiem zmrużyłem powieki i rozmyślać zacząłem o słodyczach

inokosna albo *zadrużna*. Innych różnic lud nie zna i znać nie może, bo ten sam charakter nosi, ta sama zasada panuje czy to w prostej czy złożonej rodzinie wiejskiej.

Ta sama forma rodziny panuje również u bulgarów, a liczne jej ślady znajdują się także i u słoweńców.

Wogóle zresztą w całej Europie tylko miejska rodzina ukształtowała się według rzymskiego typu. Nie mówiąc już o Rosyi, prof. Bogiszić zaznacza, że w Prusach istnieje kilka typów związków rodzinnych. Rodzina wiejska niemiecka przedstawia wiele odmian, jedną z nich autor osobiście badał w Niższej Austryi. W Szwajcaryi, zwłaszcza w kantonie Zürich, spotykamy typ zwany "Gemeinderschaft" albo „Zusammentheilung" podobny nieco do zadrugi a więcej jeszcze do formy zwanej w Serbii „bratstwo". W Bawaryi do dziś utrzymuje się około 30 różnych systematów dziedziczenia. Fakty te uznała nawet komisya, zasiadająca w Berlinie dla wypracowania jednego dla całych Niemiec kodeksu cywilnego i co więcej przyznała, że nawet po ukończeniu ogólnej kodyfikacyi rodzina wiejska podległą będzie swoim specyalnym prawom.

W Rosyi dotychczas rodzina wiejska w stosunkach majątkowych rządzi się prawem zwyczajowem a *Swod zakonow* reguluje tylko stosunki rodzinne szlachty i mieszczan. I u nas dopiero od niedawna przepisy kodeksu cywilnego znaleźć mogły zastosowanie w tej sferze.

Gdyby nasze badania etnograficzne wyszły choć cokolwiek z zaklętego koła zbierania piosneczek i opisywania obrzędów, gdyby zwrócono uwagę na zwyczaje prawne ludu dziś jeszcze dało by się dostrzedz, że rodzina chłopska w Polsce kształtuje się według wspólnego, słowiańskiego typu. Powszechnem np. jest jeszcze dopuszczanie pasierbów, jeżeli chowają się od kolebki przy ojczymie, do wspólnego podziału majątku po nim. Piszący te słowa zna kilka wypadków dopuszczenia do wspólnego podziału majątku wychowańców na równi z rodzonemi dziećmi i t. p. i pamięta dobrze, z jakiem oburzeniem w epoce istnienia sądów gminnych chłopskich gazety warszawskie podały fakt, który zdarzył się w gubernii płockiej, że sąd gminny przy życiu ojca wydzielił z jego majątku równą część dla dwóch synów. *L.*

PAMIĘTNIKI HEINEGO.

Pamiętniki Heinego, które przeszło ćwierć wieku były przedmiotem sporów i oczekiwania w świecie literackim Europy, okazały się w końcu niewielką wiązką luźnych wspomnień z młodzieńczych lat poety. Czy Heine więcej nie napisał? Z listów do przyjaciół i zwierzeń poufnych wiadomo, że od początku starannie kreślił „romans swojego życia," że pracę tę sam uważał za najważniejszą, że dużo w niej zajmował się stosunkami ogólno-europejskimi, że w niej „złowił i przechował w spirytusie niejedną żabę nadętą, niejednego węża zdradzieckiego, niejednego robaka nieznośnego, niejednego potwora" — oraz, że pod koniec roku 1840 zapisał już cztery wielkie tomy. Ze względów rodzinnych jednak, a głównie na wypadek swej śmierci, chcąc ocalić dla żony pensyę od spadkobierców stryja Salomona pobieraną (4,800 franków) Heine sam własną ręką spalił cały rękopis. Powiedział sobie, że „lew musi być szlachetnym i powściągnął swoje pazury." Dopiero na kilka lat przed śmiercią, już na łożu boleści, zdecydował się przystąpić do nowej redakcyi swych pamiętników, ale długotrwała choroba i śmierć nie dozwoliły mu urzeczywistnić tego zamiaru. Urywek obecnie drukiem ogłoszony, jako dopełnienie do ogólnego zbioru dzieł Heinego, z przedmową Edwarda Engla*), pisany jest w tonie bardzo spokojnym i wcale nie zdradza owych „pazurów tygrysich," o jakich, kreśląc te drugie pamiętniki, miał wspomnieć poeta do Kamili Selden („Mouche") w słowach: „Heine ne meurt pas comme le premier venu, et les griffes du tigre survivront au tigre luimême**)."

Wydawca tłomaczy tę okoliczność tem, że, podług słów pani Heine, szwagier jej Maksymilian podczas swej bytności w Paryżu, zaraz po śmierci brata, przeglądając rękopis u niej w mieszkaniu, kilkanaście kart początkowych miał rzucić do pieca.

Cokolwiekbądź, uważamy za stosowne zapoznać czytelników *Prawdy* z treścią tego ułamka, o którym ogólnikowo wzmiankowaliśmy wielokrotnie, jak również z osnową niektórych prac pozostałych po Heinem i dołączonych do pamiętników w postaci czterech dodatków. Nadmienimy jeszcze, że pamiętniki te hamburska firma Hoffmann i Kampe nabyła od p. Henryka Julia, byłego podprefekta Paryża, który częstym bywał gościem w domu Heinego i któremu Matylda Heine przed śmiercią swoją rękopis dała do przechowania. Firma owa za 1,600 wierszy druku zapłaciła 16,000 franków czyli po 10 franków za wiersz! Cena taka jest tem bardziej uderzającą, że za życia Heine brał za arkusz swoich poezyj po 125 franków, a za gruby tom *Reisebilder* po 20 luidorów. Dowiadujemy się o tem od p. F. Kohn-Abrest, który w broszurze swojej pamiętnikom Heinego poświęconej*) sobie przypisuje zasługę tak nadzwyczajnego podniesienia ceny i z żalem się wyraża o panu Julia, że mu nawet nie podziękował za to.

We wstępie Heine zwraca się do „drogiej pani," (prawdopodobnie myślał o Kamili Selden, którą poznał w r. 1854) i przyrzeka ukazać jej duszę swoją bez osłon. „Nie ma na niej plam, powiada, tylko rany. Ah, i tylko rany, które zadała ręka przyjaciół, nie wrogów!" Wspomniawszy o czasach szkolnych, oraz, że matka to chciała go widzieć wojakiem, to znów kupcem, to wreszcie prawnikiem — dodaje, że najwięcej obawiała się, ażeby nie został — poetą. Usprawiedliwiając tę obawę, mówi: „Pojęcia, jakie przywiązywano wówczas do tytułu poety, nie bardzo były zaszczytne; poeta był łachmanami okrytym biedakiem, który za parę talarów przygotowywał wiersze okolicznościowe i ostatecznie umierał w szpitalu." Wzmianka o pobycie w uniwersytecie w Bonn nasuwa mu myśl, że trzy z najlepszych lat życia „zmarnował" tam na studyowaniu prawa rzymskiego. „Co za straszna księga — powiada — owo *Corpus juris*, owa Biblia egoizmu! Jak rzymian samych, tak zawsze nienawidziłem ich prawodawstwa. Rozbójnicy ci chcieli zabezpieczyć sobie swe łupy i wszystko, cokolwiek zdobyli mieczem, starali się osłonić prawem. To też rzymianin jednocześnie był żołnierzem i adwokatem, tworząc mieszaninę najwstrętniejszej natury. Doprowadziłem do końca owo studyum przeklęte, ale nigdy nie mogłem odważyć się zrobić użytku

*) *Heinrich Heines Memoiren* etc. Hamburg, 1884.

**) C. Selden. *Les derniers jours de Henri Heine*. Paris, 1884.

*) Kohn-Abrest. *A propos des mémoires de Henri Heine*. Paris, 1884.

---

przyszłego życia, aliści słyszę głos jego możliwie podniesiony, prawie nieludzki.

— A to róbcie sobie, co chcecie! Ja nie wydam gazety!...

I poszedł. Nie pomnę, ażali srebrny jaki głosik wywarł na mnie kiedy takie wrażenie, jak ten ryk dotkniętego w najdrażliwszą strunę ambicyi drukarskiej Wojtka. Przedewszystkiem oprzytomniałem. Zrazu przestraszyłem się tubalnego huku łajania Wojtkowego, następnie oburzyłem okropnie za wykolejenie z rajskiej drzemki, wreszcie jednak przyszła rozwaga i możność zdania sobie sprawy z położenia. Gdyby to tak—nawiasem powiedziawszy—wszyscy wielcy mężowie stanu nasi posiadali ten przymiot stale, nie śpiewalibyśmy z pewnością do dziś dnia: „Jeszcze nie..." — ale chyba:

„Oddal ci Maćku,
Oddali zagrodę!..."

Wstałem. Porzywali się tymczasem i towarzysze moi, chwytając czemprędzej za pióra. Ale o czem tu pisać?... Był to wtorek i z powodu poprzedzającej niedzieli dzienników, z wyjątkiem paru krakowskich, nie było żadnych. Na dobitkę cisza panowała wtedy przeraźliwa na niebosklonie politycznym, w mieście nie wściekł się ani jeden pies, a na prowincyi wszystkie trzy teatry wędrowne zafantowali wierzyciele.

Byliśmy zgorszeni. Co za miasto, co za kraj, w którym nic się nie dzieje! Lud śpi, a szlachta drzemie... Co prawda, gdyby nie Wojtek, i nas byłby sen zmorzył i bylibyśmy chrapali „na posterunku," aż miło. To "gdyby" nie mogło jednak iść w rachubę. Głosiliśmy przecież zawsze, że nie na podstawie przypuszczeń, ale opierając się na faktycznym stanie rzeczy, snujemy nić poglądów na sprawy polityczne i społeczne. W słowniku naszym redakcyjnym nie istniało żadne „by" — żaden tryb warunkowy. Tak więc zajrzenie do własnego programu starczyło, aby usunąć wszelkie wątpliwości duszne i uznać się za zupełnie niewinnych.

Pociecha ta nie wpłynęła jednak ani trochę na sprawę zapełnienia dwu stronic gazety. Staliśmy ciągle bezradni wobec faktu, że nie było o czem pisać, gdy zaś korespondencya nie nadeszła w tym dniu żadna, a ilość telegramów skromną była niezwykle — znaleźliśmy się rzeczywiście w położeniu rozpaczliwem. Godzina biła dwunasta — wszedł znowu Wojtek. Widząc nas jednak krzątających się i zakłopotanych, udobruchał się i pyta już łagodnie:

— No cóż? Nie jeszcze nie macie? A toć wymyślcie jaki Bombaj, albo wyprawę do środkowej Afryki!...

— Cicho, nietoperzu! Mało ci jeszcze tego skwaru, że na równik nas wysyłasz?

Słowa te wymówił z oburzeniem najgrubszy z kolegów, który przy dwudziestu stopniach ciepła topić się już zwykł, jak słonina na ogniu. Mnie tymczasem poczęło się coś roić i snuć niewyraźnego w głowie. Środkowa Afryka — mówię półgłosem — Szolc-Rogoziński... Góry kameruńskie... *Kuryer*...

— *Eureka*!... — krzyknąłem wreszcie.

— „Czyli patentowane szelki..." — dopowiedział urzędowy humorysta naszego pisma. To już jest w inseratach — dodał.

Ale ja okazywałem takie niekłamane zadowolenie, jakiego pewno nie doznał Mojżesz, gdy mu się ukazał słup ognisty. Bo też wpadłem rzeczywiście na myśl genialną — pomysł, który rokował zapełnienie całej jednej kolumny.

— Gdzie są nożyczki? — wołam.

Nie trzeba ich było długo szukać. Najstalszy współpracownik każdej redakcyi spoczywał na długim stole, zarzuconym papierami. Gdzie *Kuryer warszawski*?... Jest. Wyprawa do Afryki była w tym samym numerze. O nic już więcej nie pytam — tnę.

z podobnego rodzaju zdobyczy, a może też dlatego, że czułem, iż inni mnie prześcigną w tym zawodzie, kapelusz mój doktorski zawiesiłem na kołku." Wracając do owego dzieciństwa, Heine największy wpływ na pierwotne wykształcenie swoje, prócz matce, przyznaje bratu jej, wujowi Szymonowi de Geldern, który, jakkolwiek dziwak i człowiek miernych zdolności, sam jednak zajmując się poważnemi pracami naukowemi i posiadając bogatą bibliotekę, najwięcej zachęcił chłopca do prób pisarskich. W bibliotece wuja młody Henryk znalazł notaty, kreślone ręką brata swojego dziadka, również Szymona de Geldern. Postać tego ostatniego, z powodu długiej bytności na Wschodzie, zwanego „oryentalistą" — i dziwne jego przygody niepospolity miały urok dla wyobraźni młodzieńczej, tak dalece, iż, jak Heine sam przyznaje, nieraz zdawało mu się, że życie jego jest tylko dalszym ciągiem życia owego dawno zmarłego wuja. Przy bliższem zastanowieniu się nad charakterem Szymona de Geldern, nie mogąc zaprzeczyć, że w charakterze tym mieściło się sporo szarlatanizmu — Heine tak dalej się odzywa: „I któryż wielki człowiek nie jest trochę szarlatanem? Najgorsi są szarlatani skromności z udaną swoją pokorą! Kto chce wpływać na masy, temu niezbędną jest pewna domieszka szarlataneryi. Cel uświęca środki."

Z okazyi pierwszych rózeg, jakie dostał w szkole, Heine następującą robi uwagę: „Dobry Pan Bóg, który stworzył rózgi, we wszechmądrości swojej pomyślał także i o tem, żeby wymierzający je w końcu się zmęczył, inaczej bowiem rózgi stały by się nieznośne." Opowiadając o dobroczynności swojego ojca i o udziale, jaki on sam przyjmował w rozdawaniu jałmużny pomiędzy ubogich, tak mówi: „Wielu ludzi serce ma na właściwem miejscu, ale nie umie dawać, i długo trwa, zanim wola serca znajdzie drogę do kieszeni; pomiędzy dobrym zamiarem a wykonaniem powoli czas upływa, jak we wlokącym się wozie pocztowym. Pomiędzy sercem mojego ojca a jego kieszenią istniała już jakby kolej żelazna. Że akcye kolei takiej nie zbogaciły go, rozumie się samo przez się. Na kolei północnej lub lyońskiej zarobiono więcej." Że Henryk cnotę dobroczynności odziedziczył po swoim ojcu, o tem świadczy najlepszy przyjaciel jego, Alfred Meissner we wspomnieniach swoich. „Liczni wychodźcy — powiada Meissner — doświadczyli dobroczynnej ręki Heinego; nigdy nie pytał ich, do jakiej partyi należą, choć nawet wiedział, że przychodzą z obozu, którego chorągiew wyśmiewał i skąd wreszcie nań czyhały strzały. Nie wymawiał się nigdy od datków pieniężnych, ilekroć chodziło o wsparcie szlachetnego lub niezasłużonego nieszczęścia; ofiarował więcej, niż pozwalały jego fundusze i w takich razach dodawał, jakby na usprawiedliwienie swoje: „Od czasu do czasu lubię panu Bogu posyłać bilet mój wizytowy."

(D. n).

Ad. J. Cohn.

PRZEGLĄD SŁOWIAŃSKI.

I.

Jubileusz pieśni narodowych. — *Hej slovane!* i *Kde domov muj?* — O czynnikach rozwoju narodowego. — Literatura ludowa. — O książkach dla „ludu przez nieludzi" pisanych. — U nas i gdzieindziej. — *Družba sv. Mohorja.* — Jakich cudów dokazuje gulden austryacki.— Wydawnictwa *Družby* tegoroczne.

Nawiązuję znowu przerwany przed dwoma laty wątek notat, któremi ogarniać miałem myśli i uczucia, dążenia i czyny, radości i żale braci naszych słowiańskich. Zapisywać mam tutaj wszystkie ważniejsze objawy życia społecznego słowian wogóle, a umysłowego ich ruchu w szczególności— ruchu, co prawda, gdzieniegdzie kiełkującego dopiero albo rozwijającego się bardzo słabo, ale jakżeż za to tu i owdzie bujającego prześlicznie! Usiłowaniem mojem będzie spełniać powierzone mi zadanie jak najobjektywniej, choć nie taję, że zabieram się do niniejszej pracy *maximo cum studio.* I jedno mi tylko stać będzie zawsze na zawadzie — szczupłość miejsca — to też notować będę mógł rzeczy tylko co ważniejsze, społeczeństwo nasze z tej albo owej racyi obchodzące najwięcej.

Przegląd mój dzisiejszy rozpoczynam od wzmianki o jubileuszu, jaki święciła dzisiaj 26 października znaczna część Słowiańszczyzny, główniej zaś kraina słowaków i Czechy. Jest to jubileusz pieśni. Lat właśnie temu pięćdziesiąt, jak u stóp Tatr rozległa się poraz pierwszy piosenka, śpiewana na dobrze znaną polakom nutę, a zaczynająca się od słów: „Hej, slowianie, jeszcze nasza słowiańska rzecz żyje!.." Ułożył ją poeta słowacki, Samuel Tomaszik. Przeznaczona pierwotnie dla słowaków tylko, bez pretensyi ogólno - słowiańskiej, rozpoczynała się zrazu od: „*Hej, slovaci, eszte nasza slovenska* (słowacka) *recz* (mowa) *žije...*" Niebawem jednak pieśń ludu z pod Tatr przedarła się za kordon węgierski, naprzód do Czech, a gdy tam już razzyskała obywatelstwo, równie ochoczo powitaną została przez resztę ludów słowiańskich. Przetłomaczona na wszystkie języki pobratymcze, śpiewaną dzisiaj jest na całym obszarze Słowiańszczyzny, jako jedna z najulubieńszych pieśni narodowych. Dumni z tego słowacy urządzili uroczysty *veczer Tomaszikov* w stolicy swojej, Turczańskim Martinie, przyczem przygotowano inne jeszcze wyrazy uznania i czci dla autora pieśni.

Również tego roku, ale dopiero w grudniu, obchodzić będą czesi pięćdziesiątą rocznicę innej pieśni, także z niewątpliwym, a serdecznym oddźwiękiem wśród całego słowiaństwa. Inny to już rodzaj śpiewu, poważny więcej, majestatyczny, rzewny zarazem, a nadzwyczaj silne na słuchaczu czyniący wrażenie. Wspaniały ten utwór nazwano po zaczynających go słowach: *Kde domov muj.* Autorem tekstu jest sławny z owych ciężkich odrodzenia narodowego czasów patryota czeski, poeta J. K. Tyl — twórcą muzyki Franciszek Szkroup. I ta pieśń przetłomaczoną została na wszystkie języki słowiańskie.

Dziwnem się to może wyda komu, że zamiast zbyć krótką wzmianką, albo nawet zgoła pominąć milczeniem—tyle słów, kładąc na nich nadto pewną wagę, poświęcam dwu piosonkom, jakby poematom wielkim i światową sławę mającym. A jednak czynię to nie bez racyi. Trzeba-bo wiedzieć, jakie znaczenie ma śpiew w zachodniej i południowej Słowiańszczyznie, jaką rolę odegrał we wspaniałem dziele odrodzenia słowiańskiego, ile serc rozgrzał i podniecił umysłów do walki, istotnie nieraz mohikańskiej! A już bez wątpienia — jeżeli słuszną jest wogóle uwaga moja — dwie pieśni powyższe najwięcej chyba ze wszystkich innych przyczyniły się do rozbudzenia uśpionych pobratymców. Zaznaczając to, nie zapoznaję bynajmniej innych, stokroć ważniejszych czynników.

Jednym z takich jest piśmiennictwo, jednym z najpotężniejszych — literatura ludowa — *prostonarodnia*, jak mówią czesi. W porównaniu z innemi słowiańskiemi — jakżeż ona u nas zaniedbana! Przeglądam

---

— Masz! — mówię tryumfująco do Wojtka, podając mu dwie wycięte z *Kuryera* kartki. W przeciągu kwadransa dorobię wstęp i koniec. Niech tymczasem to składają — wystarczy na jedną kolumnę. A wy — odzywam się do towarzyszów niedoli — postarajcie się o drugą.

Zasiadłem znowu do biurka, nie mając jeszcze jasnego o tem pojęcia, co będę pisał. Zanadto jednak byłem podrażniony poprzedniemi wypadkami, aby wyjść miało z pod mojego pióra coś bladego. Radość, spowodowana deską ratunku, jaką nam podał w najkrytyczniejszej chwili Rogoziński, wywołała w duszy mojej naprzód bezgraniczną cześć dla tego męża, zaufanie do jego osoby, a wreszcie dziwny jakiś zapał do pójścia w jego ślady. I już nie namyślałem się dłużej, co mam pisać.

„Cześć tym pierwszym — tak rozpoczynał się mój artykuł — cześć i sława pionierom cywilizacyi, którzy narażając się na trudy niesłychane, głód i zimno, spiekotę, walkę z dzikiemi zwierzętami i dzikszymi jeszcze ludźmi, a może i na śmierć niechybną — niosą pochodnię oświaty i porządek społeczny starego świata w nieznane, pustynne okrainy naszego globu!..."

„O ileż jednak — ciągnąłem dalej — przejawić się winno silniej uczucie nasze, uczucie szacunku i wdzięczności, jeżeli takim pionierem, jeżeli chorążym takim cywilizacyi jest nasz rodak, nasz krajan, nasz..."

Tu brakło mi wyrazu i na chwilę przestałem pisać. Wogóle zrobiłem spostrzeżenie, że przerw w pisaniu były u mnie powodem zawsze tylko pojedyncze słowa. Defekt ten pisarski wyrządził mi raz ogromną psotę. Tym razem jednak wpadłem niebawem na właściwy trop i przekreśliwszy „nasz," wpisałem po zrobieniu odpowiedniej pauzy — „syn naszej ziemi..." Ale był to dopiero wstęp do właściwego wstępu. Tego ostatniego „tenor" był taki, że należy nam stanąć za wielkim podróżnikiem i odkrywcą, jak jeden mąż, popierać go moralnie i materyalnie, a zdobywszy pod jego przewodem — bądźmy na razie skromni — czwartą część Afryki, skolonizować ją i główny ciężar życia naszego narodowego przenieść na równik i jego okolice. W ten sposób zainaugurowałem politykę kolonizacyjną. W tydzień później *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* przyniosła „widocznie inspirowany" komunikat o Angra-Pequenie, oświadczający się stanowczo za aneksyą zachodnich wybrzeży Afryki. Ja też skutkiem tego przyszedłem do przekonania, że to nie co innego, tylko mój artykuł wpłynął tak decydująco na postanowienie żelaznego kanclerza. Mówcie, co chcecie, uśmiechajcie się ironicznie — przekonanie to poniosę z sobą do grobu...

Wstęp mój przypieczętowawszy wreszcie jakimś ognistym wykrzyknikiem, cisnąłem pióro w kąt pokoju.

— Masz Wojtku! — mówię uradowany. Zakończenia nie potrzeba. Wypowiedziałem wszystko we wstępie.

— Wszystko?... — powtórzył metrampaż takim tonem, jak gdyby mnie posądzał o zamierzone, albo już dokonane samobójstwo. Później dopiero dowiedziałem się, że Wojtek upił się z rozpaczy — stąd zmiana w jego głosie.

— Wszystko! — odrzekłem, oddychając pełną piersią z tem zadowoleniem, jakiego się doznaje po skończonej pracy. Dziwny ton głosu metrampaża nie dawał mi jednak spokoju. Co mogło znaczyć jego pytanie, wypowiedziane tak jakoś znacząco?...

— Et, przywidzenie! — pomyślałem i zastanowiłem się nad tem, co z sobą zrobić. Była godzina pierwsza. Na obiad zawcześnie, na przechadzkę za gorąco, dom zaś obrzydł mi kompletnie od czasu, gdym sam zamieszkał. Postanowiłem zostać jeszcze w redakcyi, a że byłem zmęczony, położyłem się na sofie. Zapaliłem cygaro i zacząłem filozofować. Już to zawsze czynność ta nastraja mnie do głębszych uwag.

— Mój Boże! — rzekłem do siebie, puszczając w górę dymek — że też to życie

prawie wszystko, co się po polsku drukuje w tym zakresie, książki i gazetki, ale ze smutkiem wyznać muszę, że nam daleko, bardzo jeszcze daleko do czechów, słoweńców, a nawet — biorąc w rachubę stosunek cyfr ludności—do łużyczan! Ciągnąc tę przykrą paralelę, mam na względzie zarówno ilość wydawnictw, jak niemniej, a może i więcej ich jakość. Ileż to nam brak jeszcze rzeczy najpotrzebniejszych, podręczników popularyzujących wiedzę, albo książek z dziedziny rzemiosł i przemysłu! O jakości zaś, o wartości społeczno-literackiej, wolałbym już nie mówić. Z nielicznymi wyjątkami—za wzór zawsze wydawnictwa Promyka stawiąc — są to wszystko książki, jak dowcipnie wyraził się pewien pisarz kaszubski, *dlo lédé przez nielédzy* pisane... Kto zna lud i jego mowę, stopień rozwoju, sposób myślenia i poglądy na świat, pękać musi nieraz ze śmiechu, czytając te cudaczne elukubracye „panów z miasta.“ A zjakiego to trójnoga wygłaszać się zwykło najprostsze prawdy naszemu ludowi, czy to mowa jest o karczmie, czy o astronomii! „Słuchajcie, kochane dziatki!..“ — „nie czyńcie tak, młodzi bracia, bo to brzydko!..“—oto, w jaki sposób wabi się chłopów do wspólnego z nami stołu! Nie dziwmyż się, gdyż od niego uciekają.

Wybaczcie to odstąpienie od przedmiotu. Wracam do niego, a czytelnik sam już sobie przeprowadzi analogię, wniosek wyciągnie i horoskop dla nas postawi z tego, co opowiem, jak się dzieje gdzieindziej. Mam oto przed sobą sprawozdanie z czynności w r. 1884 wydziału *Družby svatego Mohorja* (Towarzystwo św. Hermangora) w Celowcu w Korutanach. Jest to stowarzyszenie ludu słoweńskiego literackie, prawdziwie ludowe, bo nie wiem, czy w gronie jego członków znajduje się bodaj 10% t. z. inteligencyi. Tylko zaś nie myślcie, aby wykształceni słoweńcy stronili od tej instytucyi—bynajmniej! Że liczba jej stanowi tak mały procent w spisie członków, inna tego przyczyna, a rzecz wyjaśni się natychmiast, gdy powiem, że towarzystwo to liczy w r. b. *28,502 członków.* Jeśli zważymy, że najświeższy spis ludności podaje cyfrę słoweńców na 1,200,000 głów — możemy obliczyć łatwo, ile tam może być wykształconych ludzi śród tego ludu, niemającego ani szlachty, ani bogatych przemysłowców.

Družba sv. Mohorja nie jest bynajmniej stowarzyszeniem jakiemś religijnem. Jest to towarzystwo oświaty, wydające książki popularne i rozsyłające je członkom swoim za opłatą—słuchajcie—jednego guldena rocznie. Za tego guldena dostaje każdy członek sześć książek co roku treści przemysłowo-gospodarskiej, popularno-naukowej, religijnej i beletrystycznej, nie opłacając już nawet kosztów przesyłki pocztowej. Wydane tego roku książki obejmują razem 69 ósemkowych arkuszy druku, czyli 1104 stronic, to znaczy — potrąciwszy koszt okładki i wydatki pocztowe — blisko *arkusz druku za jednego austryackiego centa!* A, czołem przed taką pracą!

Wydawnictwa *Družby* tegoroczne są następujące: 1) *Življenje preblažene Devica Marije in njenego ženina sv. Jožefa.* III snopicz. Pepisal Janez Volczicz. Ponieważ liberalna krytyka wystąpiła przeciwko zbyt obszernemu traktowaniu tego przedmiotu z ujmą dla innych działów wydawnictwa, wydział *Družby*, z godną uznania gotowością stosując się do żądania krytyki, przedsięwziął znaczne skrócenia w dalszym ciągu życiorysu Maryi. 2) *Cecilija Cerkwena pesmarica.* II del. Uredil Anton Foerster. 3) *Obczna zgodovina za slovensko Gindstwo.* X snopicz. Spisal Josip Staré. Jest to popularny wykład historyi powszechnej. 4) *Slovenski pravnik. Poduk o najpotrebniszich zakonih.* II zvezek. Spisal dr. Ivan Tavczar. O ile wiem, polska literatura ludowa nie posiada żadnego z tych dwu podręczników!... 5) *Miklova Zala.* Povest iz turszkich czasow. Spisal dr. J. Sket (*Slovenskich veczernic* zvezek 38). Autor (profesor gimnazyalny i redaktor literacko - naukowego miesięcznika *Kres* w Celowcu) osnuł opowiadanie swoje na tle czasów tureckich napadów do Austryi, w których słoweńcom korutańskim, a zwłaszcza bohaterce powieści, przypadła bardzo piękna rola.

Szóstą książką jest zawsze kalendarz na rok następny. *Koledar Družbe sv. Mohorja na l. 1885* zawiera obok zwykłej części kalendarzowej spis członków Towarzystwa, przegląd społeczno polityczny za rok ubiegły, życiorysy zmarłych patryotów i kilka innych artykułów.

Każda książka odbitą została w 29,000 egzemplarzy, tak więc w przeciągu jednego roku rozesłała *Družba* 174,000 książek do chat słoweńskich. Liczba członków, którą za rok bieżący podałem wyżej, wzrasta nieustannie. Majątek Towarzystwa wynosi 17,141 złr. 79 ct. (znacznie mniej, niż „Macierzy polskiej,“ która dostaje nadto subwencyę od sejmu). Dochód w ubiegłym roku przyniósł złr. 30,724 ct. 59, wydatków było 30,698 złr. 30 ct., zostało na rok przyszły 26 złr. 29 ct. Mimo tak skromnego zasobu w kasie *Družba* śmiało spogląda w przyszłość i oto rozpisuje konkurs na powieści i rozprawy naukowe, przyrzekając wynagrodzenie autorom w stosunku 70 złr. za arkusz druku.

Oto, jak się przedstawia błogosławiona działalność tego towarzystwa oświaty ludu, niosącego światło wiedzy i patryotyzmu w najdalsze zakątki gór słoweńskich Krainy, Korutan, do Dalmacyi nawet, Chorwacyi i Węgier, ba! do Włoch, gdzie garstka słoweńców utrzymała się i w ten tylko sposób utrzymuje do dzisiejszego dnia!

Tem kończę rzecz moją dzisiaj, a jako wyraz uznania i zazdrości, ślę ku Alpom słowiańskim życzenie: „Naj živi, naj raste, naj cvete Družba sv. Mohorja, čast in ponos narodu slovenskemu!“

Do tego dzielnego ludu powrócę jeszcze w listach następnych.

Stefan Ramułt.

JUBILEUSZ D-RA SZOKALSKIEGO.

W zeszłą sobotę liczne grono lekarzy i przyrodników obchodziło w Towarzystwie lekarskiem a następnie w Resursie Obywatelskiej 50-letni jubileusz dr. Szokalskiego. Zamiast czczych kadzideł i ogólników, dr. Kramsztyk w starannie opracowanej i krytycznej mowie wykazał zasługi jubilata, zwłaszcza na polu okulistyki. Z obrazu tego widzimy, że Szokalski brał czynny udział w postępach tej gałęzi wiedzy, niejeden krok samodzielnie postawił, niejeden przyspieszył. Z tego okresu, a raczej z tej epoki jego pobytu za granicą pochodzi szereg prac wielkiej doniosłości. Wróciwszy do kraju, zmienia on zupełnie charakter swej działalności. „Pod względem treści — wadług dra Kramsztyka — a mianowicie pod względem zakresu prac swoich, zstąpił on o parę kroków niżej, rozdrobnił swe myśli, rozproszył się. Zamiast wykończonych i na szeroką skalę zakreślonych rozpraw naukowych spotykamy gromadę drobnych odczytów i artykułów w najrozmaitszych kwestyach. Przypomniawszy sobie chwilę, w której rozpoczął swą działalność dla kraju, musimy w tem rozproszeniu uznać i konieczność i mądrość i nawet pewną ofiarę... Kraj zapo-

---

ludzkie idzie tak po grudzie! Wszędzie i zawsze jakieś chropowatości!... Przeszło już wprawdzie wszystko szczęśliwie, mógł jednak być skandal ogromny i gdyby nie Rogoziński, nie wiem doprawdy, jak bylibyśmy wybrnęli z tej biedy... Co też przecie powiedzą na mój artykuł o kolonizacyi Afryki?... No, jeżeli się go tak przestraszą, jak Wojtek, to winszuję sobie powodzenia!...

W ten sposób powróciłem znowu myślą do metrampaża. Czyżby się nie podobał mój wstęp? Przeląkłszy się tego przypuszczenia, zacząłem sobie uprzytomniać w pamięci świeżo napisany artykuł. I dziwna rzecz! Im bardziej zbliżałem się w myśli do ostatecznego wywodu, o tyle cała elukubracya traciła w oczach moich coraz więcej na wdzięku i rzeczowej wartości. Uczułem niezadowolenie.

— Jak można było — zawołałem — wyjeżdżać tak zaraz z całą pompą patryotyzmu z okazyi jednej nędznej wyprawy!... Albo ten projekt kolonizacyjny!... Jezu-Marya, czym oszalał?...

Zerwałem się z sofy i zacząłem biegać po pokoju. Zrobiło mi się zaś tak gorąco, żem wypił dwie szklanki wody, ale mój zmysł krytyczny zyskał tylko przez to na sile.

— Możeby jeszcze cofnąć artykuł?... Ach, już po drugiej — przepadło!...

Nie było rzeczywiście ratunku. Gazeta nasza wychodziła za pół godziny, Wojtek zresztą zdecydowałby się raczej nóż sobie albo mnie utopić w sercu, niż rękopis oddać w tej chwili. Byłem zrozpaczony. Rzuciłem się znowu na sofę i gdybym umiał płakać, szlochałbym, jak dziecko, z żalu, gniewu i wstydu. Nie nauczywszy się jednak tej dziecinnej sztuki za młodu, kopałem nogami materac, chcąc ulżyć bodaj trochę wezbranej czaszy przykrych uczuć. Nadmieniam przy sposobności, że jestto sposób „wyzłoszczania się“ wprawdzie niezbyt męski, ale używają go z powodzeniem także dzieci, główn[ie] zaś kobiety... Snuła się tymczasem ca[ła] chmura najczarniejszych myśli po mojej biednej głowie.

— Co na to powiedzą! co na to powiedzą! — wołałem ciągle, zakrywając twarz rękami, jak gdyb[y] już patrzyły na mnie ócz tysiące.

Gniewało mnie zawsze, że w piśmie naszem nie było zwyczaju podpisywania artykułów. Mogłeś napisać coś najlepszego—świeżą, oryginalną myśl twoją powtórzyły potem dziesiątki pism swoich i obcych, ale prócz własnego zadowolenia nie miałeś nigdy tej satysfakcyi, milszej podobno, niż honoraryum — świadomości czytelnika o twojem autorstwie. W tej chwili błogosławiłem temu zwyczajowi, niebawem jednak zaczęły mnie trapić nowe wątpliwości.

— A więc schowasz się za parawan odpowiedzialnego redaktora? — odezwało się sumienie. Ładnie!...

— Nie, nie! — odparłem natychmiast — raczej wycofam się ze skruchą...

Dręcząc się w ten sposób, zasnąłem. Śni mi się — rzecz łatwa do zrozumienia — że jestem w górach kameruńskich. Toczę olbrzymi kamień pod jeden z nadmorskich pagórków, który przeszkadzał nam w dalszym pochodzie. Czuję jednak, że to praca Syzyfa, że nie zdołam nietylko odeprzeć, ale nawet wstrzymać napierającego ciężaru. Boże, Boże — wołam rozżalony — czyż niema większych łotrów odemnie?... Jaki skutek wywarła ta apostrofa do trybunału niebieskiego, nie umiem powiedzieć, bo tymczasem obraz w kalejdoskopie sennym uległ zmianie. Ta sama góra, tylko z drugiej strony. Znajdujemy się pośród jakiegoś koczowiska. Ach, to dwór króla Mgu-Mgu, mojego dobrego znajomego.

(D. n.)

mniał wówczas tradycyi uniwersytetu i wielkiej nauki, mógł tylko w rozdrobnionych dawkach naukę przyjmować. Kto inny, nie spotkawszy uczonego grona, wśród którego żyć przywykł, zamknąłby się dumnie, a nie zrywając dawnych stosunków naukowych i nie zawiązując nowych, żyłby w ojczyźnie, lecz nie dla ojczyzny. Prof. Sz. nie odrywał się nigdy od życia, pisał zawsze w ten sposób, aby w danych warunkach największy przynieść pożytek.“

Spostrzeżenie to jest bardzo słusznem nietylko w odniesieniu do Szokalskiego: wielu bardzo naszych badaczów za granicą pracuje naukowo w wielkim stylu, a po powrocie do kraju rozprasza się i działalność swą zniża do zadań drobnych. Ale — jak słusznie powiada Kramsztyk — jest w tem i „konieczność i mądrość i nawet niemała ofiara.“

Należy uznać w Szokalskim nietylko zdolność i pracę, ale także niezwykłą energię. Sędziwy starzec, znajdujący się w wieku, w którym odpoczynek jest naturalnym i prawie nieunikniony m, zapowiada przygotowane do druku nowe dzieło o rozwoju umysłowości w przyrodzie. Dłuższego mozołu w winnicy naukowej wymagać trudno. Ceniąc tę długoletnią pracowitość, której wiele owoców dotąd zachowało swą wartość, nadano jubileuszowemu obchodowi niezwykłą uroczystość. Wyraziły swe uczucia nietylko jednostki, ale i ciała naukowe, a śród tych dowodów uznania nie brakło nawet książki pamiątkowej. Jubilat dziękował na nie szczerze wzruszony, a zapewne czuł, że mu się one należą.

TEATR.

Sen nocy letniej, fantazya dramatyczna Szekspira.

Nie lękajcie się—albowiem nie uczęstuję was rozprawą o *Śnie nocy letniej*, nie wyleję na papier morza frazesów, nie będę się popisywał łataną erudycyą, ani ze skrawków robót różnych komentatorów zszywał przemądrej rozprawy. Niektórzy moi koledzy już uraczyli czytelników tymi popisami krytycznej mądrości. Objaśnianie arcydzieł poezyi jest ulubionem zajęciem dla całej rzeszy robotników niby naukowych i ochotników literackich. Każdy, kto studyował filologię klasyczną, wie dobrze, do jakich dziwactw i pedanteryi dochodzi czasem dłubanina niemieckich szperaczy, którzy wypisują całe tomy o drobiazgach, niewartych wspomnienia. Coś podobnego dzieje się także w krytyce szekspirowskiej, która dotąd nie uwolniła się od manii bezwzględnego uwielbiania, od wyszukiwania w utworach poety nieływałych intencyj, od traktowania wielu jego utworów jakby one były systematami filozoficznymi i wyciągania z nich najdowolniejszych wniosków. Ten panegiryzm i fałszywa głębokość, znajdująca swój typowy wyraz w słynnem dziele Gerviniusa, tworzą mnóstwo bezpłodnej pisaniny, ciężko uczonych rozpraw, studyów i komentarzy, których autorowie przez kilku naszych krytyków traktowani są ze czcią niemal sakramentalną. Ci sami, co lekceważą sobie Spencerów, Darwinów, z wielkiem namaszczeniem cytują Rötscherów, Bodenstaedtów, Kreisigów oraz inne pseudo-wielkości niemieckie. Jest to wielką klęską naszej krytyki, że dotąd zostaje wyłącznie pod wpływem estetyki niemieckiej, gdy tymczasem, jak wiadomo, we Francyi i Anglii falują obecnie nowe prądy postępowych pojęć w dziedzinie filozofii i sztuki. Tym wpływom zawdzięczać należy nadmiar mętnego teoretyzowania, przecenianie niby głębokiego frazesu, który właściwie nic nie znaczy i zastępuje trzeźwe, oparte na faktach i dobrej metodzie objaśnianie piękności utworów poetycznych.

Nie znaczy to jednak, aby po tem, co napisała nasza rzesza krytyków o Szekspirze, nie można było o nim powiedzieć coś nowego, nie mówiąc już o zwykłych recenzyach, przeznaczonych do dziennikarskiego użytku, niemających pretensyi do oryginalności. Utwory jego do dziś dnia tętnią taką żywą siłą fantazyi, są same w sobie tak skończonymi światami poezyi, że wobec nich, tak jak wobec wiecznie nowych zagadnień życia, myśl samodzielna może zdobyć się na płodną pracę wyjaśnienia tajemnic charakterów ludzkich lub robót twórczości. Trzeba tylko, nie idąc za śladem panegirystów, oddzielić to, co w utworach Szekspira do dziś dnia ma głębszą trwałość, co odzwierciedla w sobie głębszą prawidłowość natury człowieczej, od tego, co się już przedawniło, co nosi na sobie piętno współczesnego smaku, albo przeżytych form sztuki. Właśnie *Sen nocy letniej* przedstawia taki splot rzeczy genialnych i dziś już niesmacznych, jest skojarzeniem czarownej, fantastycznej legendy z pospolitą farsą. Cały ten świat elfów i wieszczek, z Oberonem i Tytanią na czele, lśni się barwami najczarowniejszej fantazyi, posiada ten dziwny urok, jaki wielka poezya potrafi nadać sennym rojeniom albo baśniom, zapożyczonym z wyobraźni ludu. Szekspir rzucił tu postacie, kreślone z nieporównaną barwnością i powabem, w zamierzchłe niby czasy starożytności greckiej, kazał duchom germańskim pląsać śród gałęzi i kwiecia ateńskiego gaju, nie krępując się—jak zwykle—wskazówkami historyi, którą traktuje z naiwnie fantastyczną samowolą. Prawdę bowiem powiedziawszy, ten świat grecki ma w sobie tyle greckości, co każdy przeciętny syn mazowieckiego grodu i oprócz nazwisk nie posiada ani cienia specyalnej charakterystyki. Głównym rdzeniem i powabem sztuki jest poetyczno-satyryczne fantazyowanie na temat miłości. Poplątanie pierwiastku nadprzyrodzonego z realnym w owych scenach sennego błądzenia kochanków po nocy pełne jest nietylko poetycznego powabu, ale głębszego wniknięcia w naturę tej kapryśnej, zmiennej namiętności, która nam ozłaca lub truje życie, która wznosi duszę ludzką na szczyt zachwytów i szczęścia, albo strąca ją na dno męczarni lub spodlenia. Pomysł rozkochania powiewnej królowej elfów w ordynarnym Spodku, prostaku, oszpeconym oślą głową przez Puka, wesołego figlarza elfów rzeszy, słusznie jest uważanym za głęboko satyryczne skupienie zasadniczego kontrastu miłości, która często spada z eterycznych rojeń... w kałużę. Poeta, nieodznaczający się nadmiarem galanteryi wobec płci nadobnej, wypowiedział gorzką prawdę, że gdy kobietę zaślepi namiętność lub pożądliwość, nie zważa ona na długie ośle uszy dla innych przymiotów tego zwierzęcia, zostających w stosunku odwrotnym do jego inteligencyi.

W tej plątaninie uczuć, trochę sztucznej, bo prowadzonej z domieszką nadprzyrodzonego pierwiastku, poeta ukazał dwie pary kochanków, naznaczając zarówno kobiety jak mężczyzn trafnymi zarysami temperamentów, rozmaicie ukazującymi ich zalety a głównie małostki wśród zaślepienia i namiętności. I w innych motywach sztuki miłość stanowi główną linię poplątanych fantastycznie arabesek. Tezeusz i Hipolita, z których Szekspir zrobił bardzo bladą parę książąt, bawiących się w ostentacyjne parady, wieńczą swe pragnienia małżeństwem, którego uroczysty obchód stanowi dekoracyjne tło sztuki, napisanej prawdopodobnie dla uświetnienia jakiego pańskiego festynu. Komicznie sporadyowana tragedya miłości jest także przedmiotem owej „nudnej a krótkiej, śmiesznej a tragicznej sceny“ o Pyramie i Tysbie, którą w ostatnim akcie grają w obliczu księcia rzemieślnicy ateńscy. Epizod ten jest, jak wiadomo, parodyą dawnych ludowych fars, zwanych *intermedes* czy *interludes* i odznacza się potroszę dowcipem, a potroszę nadmiarem trywialności. Postacie rzemieślników w scenach wstępnych kreślone z pewnem komizmem, ale nic dziwnego, że sama owa scena parodyi dla wytworniejszych widzów jest już zbyt rubaszną.

Całość, przeznaczona widocznie dla ukazania ostentacyjnego blasku, który pod względem kostiumów rozwinął się jeszcze za czasów Szekspira w wysokim stopniu, jest splotem różnorodnych żywiołów, fantastyczną igraszką kontrastów, rozwiązaną w harmonijnym akordzie uświęcenia miłości przez małżeństwo i błogosławieństwo jej przez dobroczynne duchy. Żywioł poetyczny porywa urokiem nieporównanej oryginalności obrazowania, oraz darem subtelnego a wyrazistego kreślenia nadprzyrodzonych postaci. Komiczna strona, odskakująca w wymownym kontraście, trąci chwilami pleśnią i stęchlizną, a niektóre figury snują się jak blade, niewyraźne mgły wśród scen uroczych tej fantastycznej klechdy. W szczegółach, w scenach pojedynczych, a nadewszystko w nieporównanej piękności i bogactwie stylu, poeta ukazuje wyraźnie siłę swego geniuszu, ale te pojedyncze zalety można wykazać tylko w specyalnym rozbiorze, przekraczającym ramy zakreślone dla pisma. Nie szukając głębszych filozoficznych intencyj, niedokopując się idei, o której się poecie nie śniło, znajdziemy tu dużo gorzkiej a głębokiej satyry, którą Szekspir niby piołunowe krople rzuca do czary miłości.

Wystawienie tej baśni fantastycznej jest o tyle pożądanem, że urozmaica powszednią jednostajność obecnego repertuaru i przenosi słuchaczów w światy fantazyi, które czasami dla naszych filistrów naprawdę są czemś *du grec*, ponieważ nie mają nic wspólnego z pikanteryą operetki lub pistoletowymi efektami dramatów cudzołóstwa. Scena nasza nie posiada zasobów, aby tę czarodziejską legendę ubrać w świetne, fantastyczne szaty, chociaż może właśnie to skromne szafowanie efektów nie odepchnęło na drugi plan poetycznej strony utworu. Najszczęśliwszą przedstawicielką żywiołu nadprzyrodzonego była panna Wisnowska, która rolę Puka oddała z wielką żywością, wdziękiem i misternem wyzyskaniem szczegółów. Królewską parę elfów przedstawiali pani Lüdo i Prażmowski, niedosyć eteryczni w dykcyi, ale pełni plastycznego wdzięku, dociągającego grę do poetycznego tonu. Z gromady rzemieślników wyróżnił się jędrnym i tryskającym humorem p. Ostrowski, który grał dobrze, wyzyskał wiele efektów, ale mógłby więcej nadać swej postaci typowej charakterystyki prostaka. W drobniejszych rolkach dobrze zaznaczyli ten charakter: pp. Sikorski i Krogulski, a p. Stromfeld wyzyskał komicznie recytowanie prologu do owej parodyi. Ziemską miłość przedstawiali: pani Ładnowska, pp. Ładnowski i Kotarbiński, którzy niewiele mieli do roboty, a traktując na seryo swe postacie, trzymali się wyraźnych wskazówek tekstu a nie zaś wątpliwego widzimisię komentatorów. Pomimo szczupłości środków scenicznych i niedostatecznych maszyneryi, wystawa pod pewnymi względami była świetną i świadczyła o gorliwej reżyserskiej pracy.

Najponętniejszą okrasą przedstawienia była pięknie wykończona muzyka Mendelsohna, jedna z tych, co przenoszą myśl człowieka w nadziemską sferę. Nie mam pretensyi do muzycznego znawstwa, ale wiem, że z drżeniem zachwytu słuchałem tych cudownych melodyj, tak wybornie licujących z tekstem, tych nieporównanie uroczych frazesów, które przelatywały koło ucha niby rzesze duchów i snuły się jak czarodziejska czereda skrzydlatych widziadeł, to znowu grzmiały szeroką, spokojną pieśnią pogody i majestatu.

S. K.

LIBERUM VETO.

Trzy powody wyłączenia sędziów przysięgłych. — Słuszniejsza czwarta. — Bizantynizm krytyczny. — Bałwochwalstwo zamiast czci. — *Sen nocy letniej.*—Szkoła z zapisu Konarskiego. Potrzeba i konieczność. — Żądanie rady miejskiej w Paryżu. — Tanie zboże i drogi chleb.—Bałucki.

Jedno z pism włoskich opowiada, że w Legnano pretor (sędzia powiatowy) kazał z listy sędziów przysięgłych wykreślić trzech powszechnie szanowanych obywateli: jednego za to, że zbyt często chodzi do kościoła, a więc musi być dotknięty manią religijną; drugiego za to, że się unosi w rozprawach politycznych, a zatem cierpi na manię republikańską; trzeciego za to, że się umizga do pięknych panien, czem zdradza rozmiękczenie mózgu. Gdyby ten roztropny pretor znalazł się u nas, niewątpliwie do owych trzech kategoryj dodałby czwartą i wyłączył z pomiędzy sędziów przysięgłych każdego, kto pisuje w stylu Gervinusa głębokie studya o Szekspirze. Nie sama Biblia stała się w cywilizacyi europejskiej księgą świętą; tenże sam niemal charakter posiadają poematy Homera, Dantego, a przedewszystkiem utwory Szekspira. To już nie dzieła głowy ludzkiej, ale boskie ewangelie artyzmu. W rozbiorach Gerwinusa i jego naśladowców spotkać można najpoważniejsze medytacye o przepaścistej głębokości jednego obojętnego rzeczownika, spójnika lub zaimka. Bo zawsze idzie o to, co Szekspir myślał, kładąc ten rzeczownik, ten spójnik, ten zaimek. Naturalnie myślał on zawsze o wielkich ideach, które ogarniały całą ludzkość, a nawet narodziły się w kilka wieków po jego śmierci.

Że Szekspir, pisząc swoje utwory, myślał, że późniejsi dramaturgowie wyglądają przy jego geniuszu jak latarnie olejne miasteczek przy wielkiej latarni morskiej, że dotąd jak kolos wznosi się nad drobnymi pomnikami sławy swych następców — to nie ulega wątpliwości. Ale i to także jest pewnem, że najzapaleńsi jego komentatorowie myślą bardzo mało. Chcą oni koniecznie udogmatyzować słowa mistrza, uczynić go nieomylnym papieżem literatury, wyrobić dla niego fanatyczny kult. Każde przedstawienie jego dramatu winno być, według nich, ową uroczystością muzułmańską, w której derwisz na koniu przejeżdża po plecach zalegającego ulice tłumu wiernych. Są ludzie, którzy mniemają, że nie można dostatecznie uczcić geniusza, nie poświęciwszy mu swego rozumu i swobodnego przekonania. Nie poprzestają oni na jednym bogu i jego rodzinie, potrzebują mieć wielu. Taką godność na ziemi w świątyni Melpomeny piastuje Szekspir. Wszelka krytyka jest wobec niego bluźnierstwem. Można tylko ćwiczyć się w padaniu przed nim na kolana.

My wogóle jesteśmy bardzo skłonni do bizantynizmu. To też najchętniej przeszczepiamy na nasz grunt te sądy obce o genialnym dramaturgu angielskim, które wypłynęły z manii. Gervinus pozostaje ciągle powagą pierwszego rzędu. Całe to nabożeństwo pseudo-krytyczne ma pewną zasadność, gdy na scenie słyszymy ewangelię o Hamlecie, Lirze, lub Otellu. Ale powlekło się ono cechami rzetelnego humoru, gdy wystąpił *Sen nocy letniej*, zabawka fantastyczna, ściśle związana z warunkami i okolicznościami swego czasu, w znacznej części niezrozumiała dla dzisiejszej publiczności, poniekąd zaś słabsza od innych prac Szekspira. Tu już dowcip bałwochwalczej krytyki musi wysilać się, wić między trudnościami wykazania wielkich idej, których nikt nie widzi, grzebie spocony w datach i faktach historycznych, stawia dziwaczne domysły i omal nie żąda, ażeby dopełniono exhumacyi zwłok autora. Nadęta szumnymi frazesami publiczność idzie do teatru jak do kościoła, chce modlić się, ale bądź nie rozumie owej „pieśni nad pieśniami,“ bądź traci swą uroczystość w śmiechu z dziecinnych figlów Oberona i Puka. Sterroryzowana przez krytyków, którzy w nią wmówili rozmaite „ideje“ i którzy pod klątwą prostactwa kazali wierzyć w niedościgniona wielkość *Snu letniej nocy*, tłumi ziewanie lub niezadowolenie, i dopiero w domu, przy zamkniętych drzwiach mąż do żony a siostra do brata mówi: „wiesz, to szopka.“ Pomału te szepty zaczynają przenikać do prasy, która je karci surowo i zapisuje na rachunek—kantorowiczów. Ponieważ wszakże ziewanie jest zaraźliwem, więc pomimo kapłańskich szat ziewnie (po nabożeństwie) jakiś odważniejszy sprawozdawca i delikatnie między słowa zachwytu wsunie uwagę, że „główna siła przyciągająca spoczywała w... muzyce Mendelsohna.“

Po co ta sztuczność zapału i ta obłuda, która u nas zapanowała w sądach estetycznych! Czyż bez niej Szekspir nie będzie genialnym, czy spadłby mu z czoła bodaj jeden listek wawrzynu? Postępujemy z nim jak z brzydką, starą i złą panną, której przyznano tylko umiejętność haftowania i dla której ten jedyny talent pragnęlibyśmy od wszelkich wątpień osłonić, ażeby biedaczka z rozpaczy nie umarła. Szekspir ma na taką obawę za dużo wdzięków, uzdolnień i przymiotów. To mocarz, a że czasem nie zna się na fizyce lub nie umie tańczyć walca—jeszcze przez to nie spada na poziom emeryta literatury. Każda publiczność ukształcona powinna go czytać lub widzieć w teatrze, ale bez uprzedzeń, bez tego pognębienia umysłowego, które u nas jest uważanem za niezbędny warunek należytej czci.

Więc jest nadzieja, iż w niedalekiej przyszłości będziemy mieli mniej krytyków, a więcej ukształconych rzemieślników. Jak bowiem donoszą pisma, szkoła z zapisu Konarskiego niedługo zstąpi na ubogą ziemię z tej sfery, w której przebywają najgortsze nasze marzenia. Będą w niej wykładane, oprócz prac ręcznych: rysunki, geografia, chemia, fizyka, mineralogia, botanika, zoologia, technologia, arytmetyka, geometrya, historya, język rosyjski, polski i niemiecki. Dosyć! A któryż z naszych rzemieślników nawet połowę tego umiał! Na progu tej szkoły podadzą sobie ręce: potrzeba z koniecznością. Pierwsza przyprowadzi do niej dzieci ubogie, ażeby w nich rozwinięto zdolności i uzbrojono wiedzą dla walki na polu przemysłowem, na które występujemy zwykle z pięcioma palcami i ciemną głową, pokonani przez współzawodników francuskich, niemieckich i angielskich; druga wskazuje młodemu pokoleniu ten przybytek jako ucieczkę dla odprawionych od zamkniętych drzwi gimnazyum. Nie dotykam tu skutków zmiany, ale zaznaczam znany fakt, że dziś nie każdy ojciec marzyć może o synu adwokacie, lekarzu lub profesorze, że te ideały karyery bądź pod wpływem potrzeby, bądź pod naciskiem konieczności ustąpiły dużo miejsca innym, niedawno jeszcze wzgardzonym, a dziś coraz bardziej zyskującym prawo obywatelstwa. Oburzamy się jeszcze na nowożytnych heraldyków, którzy *Węgleńskich* biorą za *Węglińskich*, a *Godziembę* za *Szreniawę* czy tam coś podobnego, ale ogół nasiąka już przekonaniem, że należy przeprosić rozmaite „podłe zawody“ i użyć ich do zdobycia chleba.

Ciężki na stan szlachecki wieków naszych czasie!
Mąż się kowalstwa uczy, żona kozy pasie.

Taka skarga wyrywa się nieraz zapewne i dziś, jak przed dwustu laty, ale jej ogół nie wtoruje swym smutkiem, tem bardziej, że nie trzeba aż zniżać się do pasania kóz, żeby przejść wiele szczebli pracy, na które długo wstąpić nie chcieliśmy, a na których inne narody wyrobiły sobie dobrobyt. Przed kilku tygodniami zwiedzałem szkołę rzemieślniczą (przy ulicy Jasnej), której powierzyłem przyszłość ubogiego chłopca. W licznem gronie jej wychowańców poszukiwałem pilnie dzieci, których twarze świadczyłyby o t. z. lepszem pochodzeniu. Znalazłem kilku gładszych malców poprawnej widocznie rasy: piłowali i strugali z zapałem. Może ich rodzice w domu smutnie wspominali o swem „nieszczęściu,“ ale ich dzieci pracowały w warsztacie wesoło. Za nieszczęście jednych a wesołość drugich niech najdalsza potomność płaci czcią Konarskim, Staszycom i wszystkim dobroczyńcom, którzy chcieli podnieść naszego rzemieślnika.

Zboże spadło do cen niebywałych, zewsząd słyszymy narzekania, że go nikt kupować nie chce, a tymczasem mąka i jej wyroby wcale tej zniżki nie odczuwają. Przemysłowcy i kupcy nabywają sobie domy i majątki ziemskie kosztem ludności miasta, która nienasyconemu wyzyskowi poddawać się musi. Niech sobie artykuły zbytku korzystają w handlu z zupełnej swobody i drą każdego, kto w jego szpony dobrowolnie wleci; ale niepodobna na pastwę spekulantów puszczać ogółu w zaspakajaniu potrzeb niezbędnych. Wygórowane ceny ostryg mogą nas nie obchodzić, ale chleb powinien być ujęty pod kontrolę. Gwałtowny przełom na naszym targu zbożowym dałby się niezawodnie odczuć na targu piekarskim, gdyby na nim gospodarowała najprostsza rzetelność handlowa. Ceny zboża niemal przepołowiły się, a ceny chleba zaledwie *Kuryerom* dostarczają sposobności do oklaskiwania zniżki groszowej. Skąd ta nierównomierność!

Chleb dobrze zasłużonego podano Bałuckiemu na jubileuszowej uroczystości w Krakowie. Stańczykom jednak wydał on się za drogim. Że nie przyjęli oni udziału w obchodzie, nie zadziwiło to nawet żadnego pinczera hrabiny Zadarnoskiej; ale już nawet w tych "polskich Atenach" raziła manifestacya p. dyrektora teatru, któremu Bałucki przyniósł niejedną setkę guldenów, a który nawet aktorom polecił wykręcić się adresowem sianem. Karność w stańczykowskiem stronnictwie jest! P. Koźmian zadrze z ks. Bismarkiem, ale nie odważyłby się włosów przedzielić sobie na środku głowy, gdyby przypuszczał, że hr. Tarnowski takiego widoku nie lubi. A cóż dopiero udział w jubileuszu komedyopisarza, który pija zdrowie — mieszczaństwa.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dalszy ciąg polemiki o wpływ oświaty na moralność.—Zbrodnie.—Ciemnota protegująca występek.—Arytmetyka moralna. — Zgoda w Płocku. — Niemożność wymówki i Spółka jedwabnicza.—Zbiorowe podanie mieszkańców Biały i prawdopodobna odpowiedź władzy.—Komornik śpiący z otwartemi oczami. — Kłopot Radomia.

Niedawno brzmiała ostra polemika, w której B. Prus sam jeden (z kilku ochotnikami, mruczącymi z zasady na stronę przeciwną) walczył z obrońcami „przesądnego“ wiary we wpływ oświaty na moralność. Polemika ta w pismach zakończyła się, ale w życiu trwa dalej. Jeśli nie co dzień, to co tydzień kronika kryminalna zapisuje jakiś fakt, nad którym mimowoli wzdychamy: czemuż głowy naszego ludu są tak ciemne! Czytelnicy polscy mają zahartowane nerwy — bez obawy więc rozstrojenia kogoś mogę przytoczyć następujące okropności:

Z Płockiego:

W okolicy Płońska—donosi *Kur. warsz.*—zrozpaczony wieśniak, któremu syn odmó

wił jedzenia, bił go i kaleczył, ów biedny ojciec spalił z dobytkiem wszystkie zabudowania a sam się utopił.

Podobnież w okolicy Bielska inny włościanin wyposażył wszystkie swoje dzieci, zastrzegłszy sobie do końca życia pewną daninę w naturze. Z początku wywiązywały się one z zobowiązań, ale wkrótce odmówiły najkonieczniejszych zasiłków. Opuszczony, głodny zmarł w chlewku na komornem w tej samej wiosce, w której niedawno był zamożnym gospodarzem. Wiadomość o jego śmierci wzburzyła opinię miejscową przeciw wyrodnym dzieciom, które, naprawiając błąd, otoczyły ciało zmarłego woreczkami mąki, bochenkami chleba, połciami słoniny, krajankami sera itp. Zapasy te rozdano później żebrakom. „Niewykształconemu sumieniu wieśniaków—dodaje korespondent—znieczulonemu grubą powłoką ciemnoty, stało się zadość, opinia się uspokoiła, pamięć o zmarłym z głodu starcu przeminie i chyba wnuki jego, idąc śladem rodziców, krzywdę dziadka odpłacą.“

To jest pewnem. Słyszałem ośmioletnią dziewczynkę wiejską, której ojciec połamał kości swojej matce, zapowiadającą z uśmiechem: „Jak ja dorosnę, tak samo tatulo nieraz dostaną.“

Z Kieleckiego:

Do domu Andrzeja Brożka wcisnął się kochanek Kasperek, który mu uwiódł i zabrał żonę. Ta jednak, uległszy namowom, wróciła do męża. Wtedy Kasperek, przy pomocy niejakiego Bartosza, napadł w lesie Brożka. „Rzuciwszy się nań, rozpłatali mu brzuch, wyciągnęli wnętrzności a gdy pomimo to spostrzegli, że żyje i usiłuje się dowlec do domu, powróciwszy, poderżnęli mu gardło. W takim stanie znalazł go po upływie blisko dwu godzin przechodzący włościanin i *zaprowadził* do domu.“ Niezależnie od okrucieństwa, podkreślamy okoliczność, że ofiarowali głównemu sprawcy swą chętną pomoc Bartek, jego przyjaciółka Musiałowa a prawdopodobnie i (uwolniony) Zientarski, którzy do zamordowanego nie mieli żadnej urazy a za usługę nie zostali hojnie wynagrodzeni i którzy po prostu pomagali w zarznięciu człowieka, jakby pomagali w zarznięciu wieprza. Była to z ich strony mała grzeczność!

Z Wileńskiego:

W małym zaścianku, przyległym do lasów hr. Tyszkiewicza, mieszkał kolonista K. Mieszkowski. W lesie pracowali tracze, którzy wieczorami zaglądali zwykle do karczmy. Bywał tam i Mieszkowski, który raz pochwalił się przed nimi żartem, że posiada 15,000 rs. W kilka dni, nocą, kiedy rodzina kolonisty spała, wdarło się do domu sześciu ludzi zamaskowanych, którzy zażądali pieniędzy. Mieszkowski oddał im 13 rs., gdyż tyle rzeczywiście posiadał. Ale złoczyńcy domagali się... 15,000 rs. Daremnie błagał ich i upewniał, że więcej nie ma: zaczęli go bić, męczyć, wreszcie powiesili na belce w ten sposób, ażeby szybko umrzeć nie mógł. Z kolei wzięli na tortury jego żonę, której ciało piekli rozpaloną słomą, chcąc wydobyć zeznanie. Podobnie dręczyli służącą. Tylko chłopiec zdołał umknąć i zawezwać pomocy, która zbójów nie złowiła, ale przynajmniej odcięła żywego jeszcze kolonistę.

Gdyby którykolwiek z ostatnich dwu wypadków zdarzył się w sferze oświeceńszej, niezawodnie telegraf rozgłosiłby go po świecie całym, a uwaga powszechna przez kilka miesięcy babrałaby się w „sensacyjnym procesie,“ wydobywając z niego rozmaite przestrogi moralne. Tymczasem w życiu ludu nikt się (przynajmniej u nas) podobnym okropnościom nie dziwi. I—do pewnego stopnia — słusznie. Bo nieco wyżej nad ciemną warstwę nalezą one do wyjątków. Tam również spotykamy zdrożne namiętności, chciwość, zabójstwa, ale rzadko spotykamy okrucieństwo tak zimne i tak słabemi pobudkami wywołane. Ow kochanek, płatający brzuch mężowi, ci przypadkowi pomocnicy w morderstwie, ci tracze, urządzający torturę dla wymuszenia znaczniejszej sumy pieniędzy — to są postacie, które mogą rodzić się i dojrzewać tylko w umysłowym mroku. Ciemnota podnosi tu występne żądze do wysokiej potęgi, odziera je niemal ze znamion ludzkich. „Żądanie: „powinieneś“ — pozostaje zawsze zbyt surowem, jeśli go nie złagodzimy dodatkiem: „gdyż to, coś powinien uczynić, jest tem samem, czego *rozumnie* pragniesz“— powiada jeden z filozofów niemieckich. Ale jak tu wytłomaczyć naszemu wieśniakowi, że *rozumnie* nie pragnie morderstw, kiedy on jest głupi, kiedy jego „arytmetyka moralna“ — mówiąc słowami Benthama — niezdolna ustrzedz się najelementarniejszych błędów w rozumowaniu?

Ale... ostrożnie z tego rodzaju zarzutami, bo „arytmetyka moralna“ i w oświeceńszych sferach przedstawia nam nieraz dziwne działania. W Płocku istnieje stowarzyszenie spożywcze „Zgoda.“ Jak tam bywa, przekona nas jedna z wielu łez organu miejscowego, uronionych z powodu „walnego“ zebrania. „Dochodzi do tego, że członkowie stowarzyszenia, znajdując się *w tym samym lokalu na pierwszem piętrze*, nawet nie zeszli do sali obrad.“ Szan. czytelnicy, dopomóżcie mi swoją pamięcią: czy ja się nie mylę, że w każdym naszym „programie“ między najważniejszymi punktami znajduje się marzenie o „stowarzyszeniach?“ Alež chyba tak! Pod adresem płoczczan, patrzących na „walne“ zebranie „Zgody“ z pierwszego piętra, wysłałbym ostrą wymówkę, gdyby nie obawa słusznej odprawy. Bo nie mogę przecie narażać naszego miasta, które Mars swą kanalizacyą tak zawstydził, na możliwą odpowiedź: „Co pan dobrodziej nam płoczczanom urągasz, że nie chcemy z pierwszego piętra zejść na dół dla przyjęcia udziału w obradach „Zgody,“ skoro wasza warszawska Spółka jedwabnicza z 800 członków na przedostatnie zebranie zgromadziła — 9, a na ostatnie, zamykające ją, zaledwie 12.“ Faktowi temu byłoby mi trudno zaprzeczyć, skoro wszystkie pisma wraz z *Prawdą* podały go do publicznej wiadomości.

Wolę więc w tej drażliwej sprawie zamilknąć i chwalić rozum Biały. To poczciwe miasto za jedno „zbiorowe podanie“ powinno przejść do potomności i zluzować zbyt długo w niej pokutujący Pacanów. Bo proszę posłuchać: „Dla zwalczenia katarów, chrypki i innych „przykrych konsekwencyj zaziębienia“—donosi *Kur. warsz.*— powstała myśl *zniesienia* niewłaściwego *zwyczaju* zmiany lokalów na św. Michał... Myśl ta urzeczywistnia się *w zbiorowem podaniu* mieszkańców, które ma wkrótce pójść do właściwego (?) zatwierdzenia *władzy.*“ Ciekawy jestem, jaką też wybrano na ten cel „władzę,“ która chyba od stworzenia świata po raz pierwszy uraczoną została takiem „zbiorowem podaniem?“ Natomiast nie pomylę się, przypuszczając, jakie będzie „właściwe zatwierdzenie“ tej prośby. „Do zakatarzonych i ochrypłych, oraz podlegających innym przykrym konsekwencyom zaziębienia mieszkańców Biały. Ze strony władzy nie zachodzą żadne przeszkody, ażebyście przeprowadzali się na św. Heliodora lub Abdona, kiedy jest ciepło, ale skutkiem zastrzeżonego w kodeksie prawa każdej jednostki do zmiany mieszkania w porze dowolnie wybranej, władza płynącego z tej swobody przywileju św. Michała pozbawić i odnośnego zwyczaju znieść nie może. Przestańcie więc na zatwierdzeniu *Kuryera warszawskiego*, który oświadczył, że „projekt ów ma wiele słuszności w sobie.“ Na maryginesie tej prawdopodobnej odpowiedzi dołączam dla historyi uwagę: mieszkańcy Biały spostrzegli, że przeprowadzanie się na św. Michał nabawia ich chrypki i kataru; zamiast więc przeprowadzać się na św. Jan, wystąpili ze zbiorowem podaniem do władzy, ażeby ona zabroniła im tego czynić na św. Michał. Czy też coś podobnego komukolwiek się śniło? Może—ale w Białej.

I to nie — chyba w Łodzi. Miejscowy *Dziennik* opisuje następujące zdarzenie. Komornik S., wracając późno bryczką odkrytą, widocznie zdrzemnął się w drodze i nachylił ku przodowi. Z okoliczności tej skorzystali złodzieje; jeden z nich uczepił się z tyłu i powyrzucał teki poumieszczane w tyle siedzenia na szosę, a drugi je zbierał. Kradzież spostrzeżono dopiero po przybyciu do Łodzi. Zarządzono poszukiwania i znaleziono część papierów w okolicy Pabjanic, pomiędzy krzakami, a drugą część, tekę i księgi, odebrano nadpalone w urzędzie powiatowym w Łasku. Złożył je sam wójt z Pabjanic, który dostrzegłszy ogień na szosie, udał się na miejsce i znalazł niedopalone księgi i papiery sądowe. W chwili przybycia widział wójt, jak od ognia uciekło dwóch ludzi. Rzezimieszkowie polowali widocznie na pieniądze, a przekonawszy się, iż w tekach oprócz zapisanych papierów nic niema, niezadowoleni, że im się polowanie nie powiodło, spalili takowe.

Znam wiele takich dzieci, którym nie odważyłbym się odczytać tej historyi. Bo nuż które zagadnęłoby mnie:

— A kto widział, że „jeden ze złodziejów uczepił się z tyłu i powyrzucał teki poumieszczane w tyle siedzenia na szosę a drugi je zbierał,“ kiedy komornik spał a rzezimieszkowie „uciekli?“

Na objaśnienie tej zagadki mój rozum za kusy, musiałbym go chyba nadsztukować bialskim.

Radom ma poważny kłopot. Przeprowadzono mu już kolej, zbudowano dworzec, ale dotąd nikt, bo nawet *Gazeta radomska* nie wie, jaką drogą będzie można do tego dworca się dostać. Wiodąca tam ulica jest tak ciemną, błotnistą, wybojami pożłobioną i niebezpieczną, że dogodnej komunikacyi nie zapewnia. W tym kłopocie Radomia powtarza się rozmyślanie każdego ziemianina: kolej będę miał o dwie mile, niby blisko, ale jak do niej dojechać? Dzięki zaś powodom do tych rozmyślań, kraj nasz niedługo wyglądać będzie jak strojniś we fraku bez butów. Koleje ma — tylko mu dróg do nich brak. Jakie to dziwne arterye i nerwy, że się rozbiegają drobnemi rozgałęzieniami po całem ciele; czyżby nie lepiej było poodcinać te odnogi?

A. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 października.

Cisza panuje znowu w warsztatach politycznych, taka cisza, że aż słychać kłótnie, serbskie, belgijskie i manifest księcia Cumberlanda.

W Belgradzie przesilenie gabinetowe zakończone dymisyą dawnego gabinetu i częściowym jego powrotem. W nowym składzie: Garaszanin obejmuje, oprócz piastowanej teki spraw zagranicznych, tekę finansów, Rajowicz tekę handlu, Popowicz oświaty i wyznań. Marinowicz (sprawiedliwości), Gudowicz (roboty publiczne) i Petrowicz (wojna) zatrzymują teki dotychczasowe. Obydwaj świeżo mianowani ministrowie należą do stronnictwa postępowego.

Gabinet Malou w Brukselli, jak przewidywaliśmy i życzyli, spadł z etatu. Powołane na jego miejsce osobistości (prezes Bernaert) należą do stronnictwa umiarkowanie konserwatywnego. Ale i ci panowie, zdaje się, niedługo pójdą za swymi poprzednikami rozpamiętywać znikomość rzeczy ludzkich.

Nad „patentem“ następcy zmarłego księcia Bruuświku, który objawił rzetelną chęć pokwitowania z Hanoweru, ks. Bis-

mark złośliwie się uśmiechnął i przekazał sprawę Radzie związkowej, która dobrze wie, jak chce rozum z Warzina. Ponieważ zaś ks. Cumberland sam osłabił swoje pretensye do dawnego dziedzictwa, nie otrzyma nowego, a wydał już manifest z „My" itd. — więc istotnie jego położenie nie jest teraz godnem zazdrości.

Wybory do sejmu niemieckiego znane nam są zaledwie z oderwanych rezultatów, nic więc pewnego jeszcze o ich ogólnym wyniku powiedzieć nie można.

Nie można również nic wywnioskować (prócz już wysnutych a znanych domysłów) z mowy cesarza austryackiego do delegacyi wspólnych, gdyż powtórzyły się tylko zwykłe zapewnienia o dobrych stosunkach z sąsiadami i osiągniętem porozumieniu.

W Chinach i Tonkinie coś się zatkało. w Egipcie również. Natomiast Anglia jątrzy swe rany agitacyą w sprawie bilu wyborczego, który, jak wiadomo, Izba wyższa odrzuciła, a który nie chce ustąpić i nie ustąpi z przed jej oczu, bo zanadto ma silne poparcie. Minister Chamberlain, przemawiając w jednem z miast Walii, rzekł (według *Gaz. warsz.*): „Nie pragnę wcale oglądać nudnej jednostajności społecznego życia; owszem jestem wdzięczny rozmaitym panom (gentlemen), zadającym sobie trud noszenia płaszczów bramowanych i szlacheckich koron, utrzymujących przytem pewny splendor i wystawność przyjemną dla oka. Są to stare pomniki, a im przynajmniej byłoby nieprzyjemnie, gdyby je zniesiono; ale nie sądzę, byśmy mogli budować i zbudować podwaliny naszego rządu *na tych* zajmujących ruinach. Nie mogę pozwolić, by te starożytności kontrolowały losy wolnego państwa."

Źle z parami, kiedy już do nich tak przemawiają ministrowie.

GŁOSY PISM.

Czego chcą Starczewicze? Korespondent wiedeński *Narodnich listów*, który jeździł umyślnie do Zagrzebia, ażeby stosunki tamtejsze poznać na miejscu, i informował się o celach dążeń każdego stronnictwa u przewódców, tak streszcza wrażenia swoje, odniesione z rozmowy z naczelnikami skrajnej opozycyi chorwackiej, dr. Antonim Starczewiczem (stryjem) i dr. Dawidem Starczewiczem (synowcem):

„Panowie w Peszcie, Wiedniu i Pradze — my się wszyscy mylimy! Stronnictwo prawa jest jaknajmniej partyą polityczną, ono jest stronnictwem ekonomicznem, partyą społeczną, domagającą się reform politycznych takich tylko, które równie są możliwe i równie potrzebne naprzód pod każdym rządem. republikańskim, czy monarchicznym, konstytucyjnym, czy absolutnym, a powtóre we wszystkich państwach, w Chorwacyi czy Peruwii. To, com słyszał od Starczewiczów, co sędziwemu Antoniemu łzy wyciska z jego modrych oczu, a porywczego Dawida przywodzi do gniewu, graniczącego niekiedy z wściekłością — to nie jest wysoka polityka, to nie prawno-państwowe zagadnienia, ani wreszcie pierwiastki wsteсznictwa, czy wolnomyślności: to jest moralny i materyalny upadek narodu chorwackiego, bezwzględna grabież, na nim dokonywana, niesłychane zepsucie w życiu publicznem, samowola administracyi, przedajność sądów, nie do uwierzenia posunięte wygórowanie taryf kolejowych dla wywozu chorwackiego, a zniżenie dla przywozu węgierskiego — to jest nepotyzm, odprawianie urzędników niemiłych węgrom, a przyjmowanie służalców, znęcających się nad miejscową ludnością, tłumienie przemocą woli narodu — jednem słowem, taki upadek, takie skażenie stosunków publicznych, w których rolnik chorwacki nietylko wspomina erę Bachowską, jako raj ziemski, ale w których reminiscencye o tureckiej administracyi wydają mu się być złotym wiekiem!..."

„Ja nie twierdzę — mówi dalej wspomniany korespondent — jakoby wszystkie zarzuty, wychodzące z łona Starczewiczów, były prawdą, niedającą się tu i owdzie obalić, albo sprostować, choć w znacznej części przyznają im racyę także członkowie innych stronnictw, a nawet sam ban w rozmowie ze mną przyjmuje je *cum grano salis* — ja tylko konstatuję, że ten ucisk ludu chorwackiego jest głównym podkładem istnienia stronnictwa prawa, a jego — rzekoma zresztą, czy rzeczywista — straszliwość przyczyną gwałtownego występowania Starczewiczów w sejmie, że usunięcie jego wreszcie jest najgłośniejszym, najbliższym celem i najmocniejszą sprężyną ich usiłowań.

Nie, stronnictwo Starczewiczów nie jest partyą przewrotu, to nie jest (dziś przynajmniej) spisek przeciwko całości korony św. Szczepana — a jeżeli grozi ono jakiem niebezpieczeństwem dla spokoju publicznego, to chyba dlatego, że — i wtedy — gdy wątpi o naprawie stosunków. I rozumiem już teraz, jak mógł mi ban powiedzieć, że „możeby się i dało ze starczewiczewcami rządzić krajem..." To pewna, panowie w Peszcie, Wiedniu i Pradze (staroczesi), że wy się wszyscy mylicie, widząc w stronnictwie prawa politycznych nihilistów, zdrajców monarchii węgierskiej! Owszem, ono nie wyrzeka się narodowo-politycznych ideałów, dąży do możliwie największej niezawisłości Chorwacyi od Węgier, ale od tych dążeń chęć reformy stosunków społeczno-ekonomicznych odbija na razie tak, jak wypukłorzeźba od płaskorzeźby."

Ażeby czytelnik mógł się lepiej zoryentować w stosunkach parlamentarnych Chorwacyi, podajemy podział członków sejmu zagrzebskiego na stronnictwa. Partya rządowa, nazywająca się „narodową," liczy członków 40, a od czasu, gdy się z nią połączyło stronnictwo serbskie — 70; starczewiczanie 24 (w poprzedniej kadencyi 17), niezawiśli 13, jest wreszcie 3 dzikich—razem 111. Do niezawisłych należy prawdziwy kwiat inteligencyi chorwackiej, jak np. biskup Strossmayer, Derenczin, kan. Raczki, prezes Akademii umiejętności itp. Niezawiśli różnią się od starczewiczan jedynie... formą wysławiania się, więcej akademicką—jest też wszelka nadzieja, że dwa te stronnictwa zleją się ze sobą niebawem. Byłoby to ze wszech miar pożądanem, bo wtedy opozycya, mająca bezwarunkowo cały lud chorwacki za sobą, przyszłaby rychlej do steru i położyła koniec węgierskiej gospodarce.

Nowoje Wremia pomieszcza ustępy z pamiętników Koszelewa, który po upadku Wielopolskiego był dyrektorem Komisyi skarbu. Między innymi opowiada Daszkow następujący wypadek z czasów dawniejszych:

„Z Najwyższego rozkazu, Senat rozpatrywał pewną sprawę. Dla braku dostatecznych dowodów, uniewinnił oskarżonych. Cesarz Mikołaj był bardzo z tego niezadowolony i polecił oddać sprawę Radzie państwa. Tutaj Daszkow, jako minister sprawiedliwości, broniąc wyroku Senatu, wypowiada piękną mowę i większość Rady państwa, z wyjątkiem księcia Czernyszewa i księcia P. Wołkońskiego, zatwierdza wyrok Senatu.

Cesarz zwraca sprawę powtórnie Radzie państwa z taką uwagą: „Senat, trzymający się litery prawa, mógł uniewinnić oskarżonych. ale Rada państwa winna była kierować się zasadami i ideami porządku państwowego; dlatego ma rozpatrzeć tę sprawę na nowo i z punktu widzenia państwowego.

Daszkow tedy powtórnie wygłasza świetną mowę na posiedzeniu Rady państwa, która z wyjątkiem tych samych dwu członków, jeszcze raz zatwierdza swą decyzyę. Dziennik Rady zostaje posłany cesarzowi. Cesarz wbrew przyjętemu zwyczajowi trzyma przez dwa tygodnie dziennik u siebie i nic nie mówi; nareszcie odsyła go zatwierdzony.

Daszkow przez cały ten czas nie miał posłuchania u cesarza; jednakże zebrało się tyle interesów, że minister sprawiedliwości musiał sam prosić, aby cesarz zechciał go przyjąć. Cesarz oznacza godzinę i Daszkow jedzie w najzupełniejszem przekonaniu, że wróci jako człowiek całkiem prywatny. Jednakowoż cesarz przyjmuje go bardzo łaskawie i powiada: „No, Daszkow, słuchaj. Trochę poswarzyliśmy się, ale mam nadzieję, że to naszej przyjaźni nie zaszkodzi."

Opowiadanie to słyszałem z ust samego Daszkowa."

Gniazdo paszkwilu.

Greif' niemals in ein Wespennest,
Doch, wenn du greifst, so greife fest!
Goethe.

„*Rola* wychodzi już rok drugi, nie odstępując ani na jeden krok od swego pierwotnego zadania, nie przestając uderzać w jedną i tę samą stronę naszych społecznych i ekonomicznych stosunków. Skoro więc ta *Rola* pisze, jak utrzymują przeciwnicy, same nonsensa, fałsze i oszczerstwa, to cóż łatwiejszego, jak, wziąwszy komplet onej *Roli*, rozebrać całą jej zawartość i wykazać wszystkie jej te błędy."

„Wszak taka metoda walki z przeciwnikiem byłaby i uczciwszą i bardziej przekonywającą."

„A przecież, gdy my każde nasze twierdzenie, każde dowodzenie popieramy faktami, oni albo odpowiadają frazesami, w które sami nie wierzą, albo używają nędzniejszej jeszcze (*Słowo*) broni."

„Ależ na Boga! Dowiedźcie nam, panowie, tych „oszczerstw," przekonajcie o „kłamstwach," postawcie przeciw faktom fakta, przeciwko dowodzeniu—dowodzenie, a uderzymy się w piersi!"

Takie dumne wyzwanie*) w poczuciu swego rozumu, uczoności i uczciwości rzucił prasie naszej indyk antysemitów warszawskich, stale rozweselający fejletony pism polskich dowodami swej znajomości hebrajszczyzny, historyi, ekonomii, literatury i wszystkich wreszcie nauk, począwszy od gramatyki, a zwłaszcza ortografii polskiej, a skończywszy na filozofii.

Tego rodzaju bohatera niepodobna traktować poważnie, a ze względu na używaną przez niego broń — przyzwoicie. Pewien pogromca zwierząt, zapytany, czy doznaje strachu, wchodząc do klatki tygrysów, odrzekł: „Boję się—pcheł." To też większa część prasy, a wszczególności *Prawda*, pomimo niesłychanie zaciekłych i brutalnych napaści, obelg i potwarzy, wyrzucanych z tej karczmy antisemityzmu, nie wdawała się z nią w rozprawę i pozwalała jej właścicielowi opluwać własną brodę. Gniewało to jeszcze bardziej i ośmielało rycerskiego paszkwilistę. Przez rok przeszło połowę szpalt *Roli* zapełniał wymyślaniem na redaktora naszego pisma, spotwarzał go i złorzeczył mu w artykułach wstępnych, w korespondencyach z prowincyi, w fejletonie, w kronice, w odpowiedziach od redakcyi do manekinów, przepowiadał ciągle swym czytelnikom, że „Świętochowski znowu go brutalnie zwymyśla," nadstawiał mu swoje „słowiańskie oblicze," a tu nic, nic, co najwyżej jakiś żart wesoły bez cienia żółci, lub ironiczna wzmianka ośmieszająca ciężko, więc nienadająca się do powtórzenia przez ośmieszonego.

Nareszcie nastała radość w antiizraelu: *Poseł Prawdy* odezwał się pewnego razu, że wśród redaktorów naszych można znaleść nietylko już ludzi, którzy skończyli zaledwie szkółkę elementarną, ale nawet po prostu idyotów, którzy pierwszemu lepszemu figlarzowi pozwalają się złapać na najbardziej krzyczące brednie. P. Jeleński odrazu odgadł, że tu o nim tylko może być mowa i zaraz w następnym (9) numerze *Roli* przedrukował kursywem zdobyty tytuł. Później dopiero widocznie spostrzegł, iż za daleko dał się unieść chęci obnażenia swych ran w męczeństwie za „dobrą sprawę" i, chcąc naprawić

---

*) Nr. 14 z r. b. artykuł „Mówmy jasno." Ustęp powyższy przytoczyliśmy dosłownie, zmieniwszy tylko niemożliwe znaki przestankowe, których próbkę przytoczymy później.

złe wrażenie zbytniej szczerości, począł z „bezwzględną niezależnością“ od wszelkiego estetycznego smaku nazywać *Prawdę* „Łgarstwem“ i ostrożniej już przedrukowywać z niej cytaty.

Wszystko to nie zdołało skłonić naszej redakcyi do zmienienia przyjętej względem niesumiennego napastnika taktyki. Gdy jednakże, korzystając z tego, p. Jeleński twierdzi, że przeciwnicy jego podnoszą tylko gołosłowne wrzaski, gdy, ufny w nieprzezwyciężoną pogardę dla siebie, domaga się, by mu faktami dowiedziono, że pisze niedorzeczności, że nie posiada nawet elementarnego wykształcenia w żadnym kierunku, a nawet ogólnego, że przeciwko wielu pożytecznym instytucyom i osobistościom, cieszącym się ogólnym szacunkiem, a zwłaszcza przeciw prasie i dziennikarzom naszym występuje w sposób w najwyższym stopniu nieuczciwy, przekręca cytaty i narzuca swym przeciwnikom niebywałe zdania — chcemy, stłumiwszy w sobie odrazę, jaką podobny przedmiot budzić musi, oświetlić to skarżące się na niesprawiedliwość gniazdo niecnego paszkwilu, posługujące się w napaściach niemającą nic do stracenia zuchwałością, nieuctwem, obelgą lub kłamstwem.

P. Jeleński podaje swoję *Rolę* za jedyne w Polsce pismo „bezwzględnie niezależne;“ całej niemal prasie naszej zarzuca kult rubla, sprzedajność, popieranie interesów i reklamę dla przedsiębiorstw żydowskich, służalstwo, brak zasad i poczucia godności, obojętność dla dobra ogólnego, a nawet świadome przeciwko niemu wykroczenia itp. niegodziwości i zbrodnie.

Jest to paszkwil.

Cała prasa nasza, stwierdzając fakt, iż żydzi dotąd w przeważnej większości swojej stanowią u nas naród w narodzie i nie poczuwają się bynajmniej do jedności i solidarności z rdzennem zaludnieniem kraju, domaga się oddawna zniesienia wszelkich praw i instytucyj, ograniczeń i przywilejów, podtrzymujących ten szkodliwy separatyzm. Żąda więc przedewszystkiem zamknięcia chederów i zakładania na ich miejsce wspólnych szkół elementarnych, zreformowania i oddania pod kontrolę państwa kahałów itp. Oświeceńsze żywioły obu wyznań nawołuje do większego zbliżenia się, do zapomnienia przestarzałych uprzedzeń i nienawiści, do zawarcia stosunków przyjaznych w imię zobopólnego interesu i dobra ogólnego. Podnosi i pochwala wszelkie czyny obywatelskie izraelitów, natchnione myślą o pożytku społecznym; gani stanowczo wszelkie wyróżnianie w tym względzie odrębnych wyznań.

Rola twierdzi, iż, „jak świat światem, żyd nie był i nie będzie polakowi bratem“ *). Żadne, bodaj najradykalniejsze środki, nic tu nie pomogą; wszelkie reformy nie zdadzą się na nic. Cóż więc za cel istnienia pisma, poświęconego specyalnie kwestyi, której rozwiązać nie można? Logika dyktuje tutaj jednę tylko odpowiedź — w takiem położeniu rzeczy celem krzyku może być tylko łowienie ryb prenumeracyjnych w mętnej wodzie nienawiści plemiennych i wyznaniowych. Dalszy rozbiór „poglądów“ i uzdolnień naszego antisemity przekona nas, iż nie rzucił się on na tę drogę zarobku dobrowolnie, lecz był zmuszony do chwycenia się jej, ponieważ na żadnej innej do założonego, a wymienionego wyżej celu nigdyby nie doszedł.

Przejdźmy teraz na pole ekonomiczne.

„Żydzi opanowali prawie całym naszym handlem, a w znacznej części i przemysłem, obecnie zaś zaczynają się już nawet zwracać do rolnictwa i wykupywać ziemię, krwią i potem naszych ojców zroszoną.“ Na fakty te oddawna zwracała uwagę cała prasa nasza, badała ich przyczyny, znaczenie i następstwa jeszcze przed narodzeniem się nietylko *Roli*, lecz nawet *Żydów*, *Niemców* i *Nas*, stanowiących, jak wiadomo, tylko niedołężne wypisy z dzienników polskich, urozmaicone błędami stylowymi i ortograficznymi. Nie powiem więc nic nowego, gdy zaznaczę, iż fakty te przedstawiają się ujemnie z dwu powodów: najprzód i przedewszystkiem dlatego, że dowodzą, iż my, polacy z krwi i kości, z uczuć i pochodzenia, nietylko pozbawieni jesteśmy uzdolnień przedsiębiorczych, nietylko nie potrafimy prowadzić umiejętnie handlu i przemysłu, lecz nawet należycie i rozumnie gospodarować na roli, czem zajmowaliśmy się wyłącznie od wieków, następnie — dlatego i o tyle, że i o ile żydzi polscy nie są polakami, czyli nie poczuwają się do łączności, lub lepiej — jedności z naszym narodem.

Dla usunięcia pierwszej z tych dwu ciemnych stron naszego życia ekonomicznego wszystkie pisma, wszyscy dziennikarze i literaci, bez wyjątku prawie, uderzają na zakorzenione w nas przesądy kastowo-szlacheckie, nawołują nas do pracy, nauki, oszczędności, nadawania praktycznego kierunku wychowaniu młodzieży, fachowego kształcenia się itp. Tak zwana *młoda prasa* nasza podniosła nawet zadania te do godności programu. To też gdy antisemita nasz bądź co bądź postanowił ogłosić światu nowość i wyrwał się ze zdaniem, że „niepodobna się zgodzić na to, aby od przygotowania fachowego zależeć miało już wszystko,“ gdyż „żydzi nie kończą szkół handlowych *), a jednak potrafią być kupcami, prowadzić tak dobrze hurtowy jak i detaliczny handel“ (nr. 17) — powiedział niedołężną i wysoce szkodliwą niedorzeczność.

Co do drugiego punktu sprawy, to wzmiankowaliśmy już wyżej, jaka jest różnica w tym względzie pomiędzy zapatrywaniami *Roli*, a innych pism naszych. Zastanówmy się teraz, kto tutaj ma za sobą słuszność, kto „opiera się na faktach“ i pragnie szczerze dobra ogólnego, a kto nie licząc się wcale z tym „przesądem liberalno-żydowskim,“ czy depcąc go świadomie, umyślnie zamyka oczy na wszystko, co się z jego denuncyacyami nie zgadza, miota się zajadle i krzyczy w niebogłosy, byle tylko... napędzić sobie do kieszeni tego „semickiego bożka,“ tego „brudnego rubla,“ ten „marny kruszec,“ który w rękach żydów tylu nieprawości i zbrodni staje się przyczyną, a do którego dziwnie tępy na wszelkie uczucia i pobudki paszkwilista wszystko w napaściach swoich sprowadza.

Podług p. Jeleńskiego o uspołecznieniu żydów wcale mowy być nie może, ponieważ żyd oświecony, a nawet przechrzczony, nie pozbywa się nigdy wrodzonego mu jakoby pociągu do szacherki i wyzysku, niechęci i nienawiści dla społeczeństwa, wśród którego żyje, obcego mu religią i pochodzeniem, poczucia wyłącznej solidarności ze swymi jednoplemieńcami. Tworzy on i wspiera jedynie te instytucye, które mają na celu pożytek jego braci w Izraelu, im tylko daje zarobek, nimi tylko obsadza wszystkie korzystniejsze miejsca w swych przedsiębiorstwach.

Że żydzi pod wpływem kilkunastowiekowego prześladowania wyrobili w sobie nienawiść i nieufność dla narodów innowierczych i silne poczucie potrzeby solidarności pomiędzy sobą, temu nikt na świecie nie przeczy, a nawet nikt, nieobrany zupełnie z rozumu, tego potępiać nie może. Żeby jednakże przy zmianie ze strony chrześcian zachowania się względem nich, mieli oni zawsze odpychać dłoń przyjaźnie sobie podawaną, żeby w ich sercach nie mogła się roztlić ani jedna iskierka szlachetniejszych uczuć społecznych, tego ani logicznie przypuścić, ani praktycznie dowieść lepszemi siłami umysłowemi, niżje posiada taki krzykacz, jak przedsiębiorca *Roli*, niepodobna. Zapewne, ciemne pospólstwo żydowskie, choćby nawet zewnętrznie, pod względem mowy, odzieży, zwyczajów i obyczajów zostało spolszczone, byłoby zawsze obojętnem dla wszelkich spraw ogólniejszych naszego narodu, dla wszelkich wyższych dążeń i ideałów naszych; nie pochodziłoby to wszakże z żadnych specyalnych antispołecznych wad rasy semickiej, ale z przyczyny ogólnej, wszędzie i zawsze takie skutki wydającej — z ciemnoty. Czyż dla naszego ludu prostego, czyż dla naszych nieokrzesanych ignorantów „o słowiańskiem obliczu, okolonem zawiesistem wąsiskiem,“ czyż dla naszych Jeleńskich wszelkie cele i sprawy ogólne, po za prześladowaniem żydów, nie są równie obce? Czyż po za tą swą „społeczno-narodową działalnością“ widzą oni cokolwiekbądź więcej? Czyż p. Kamienny (głową i sercem) nie śmieje się głośno, swobodnie i wesoło, nie poniewiera i spotwarza ludzi, dążących w dobrej wierze do pojednania i złączenia węzłami sympatyi w imię dobra ogólnego wszystkich mieszkańców? Czyż *Rola* zajęła się poważnie którémkolwiek z tych ważnych zagadnień społecznych, jakie za jej istnienia na porządku dziennym stanęły? Czyż nie odwraca ona od nich lekkomyślnie uwagi swych czytelników, krzycząc tylko ciągle: bij żydów? Zastój w przemyśle — wszystkie pisma pocą się nad zbadaniem jego przyczyn i wskazaniem środków zaradzenia złemu — po co się męczyć? To żydzi winni: hep, hep! Konkurencya amerykańska zabiera nam zagraniczne rynki zbytu, ceny zboża ulegają nadmiernej zniżce, rolnictwu grozi upadek — co począć, jak się ratować? wołają wszyscy. Naiwni, nie wierzcie cyfrom, bo to tylko żydowska szacherka dla wyzysku rdzennej ludności, unikajcie stosunków z żydami, a wszystko będzie dobrze — hep, hep! Brak miejsca w szkołach, tysiące biednych rodziców w rozpaczy załamuje ręce nad losem swych dzieci, pozbawionych możności zdobycia światła — czego rozpaczać? Nauka złe wydaje owoce; studenci z „bezwzględnie niezależnej“ *Roli* drwią, a przytem to żydzi tak zapełnili szkoły, zabronić im wstępu do nich, a miejsca się znajdą — hep, hep! Palą się ulice, wsie, miasta całe, miliony majątku idą z dymem — jak radzić? — zabawne pytanie! To żydzi podpalają, nie kupujmy nic u nich, niech się wyniosą do Ameryki, szczęśliwej podróży! ale i tam ich nie chcą — hep, hep!

Tak więc, jak powiedzieliśmy, na wyrobienie szlachetniejszych pojęć i uczuć obywatelskich wśród ciemnej masy żydowskiej liczyć nie możemy, ponieważ uczucia i pojęcia te dla ludzi ciemnych wszelkich ras i wyznań wogóle są niedostępne, bo niezrozumiałe. Dlatego to właśnie oświata tak wielkie ma znaczenie, dlatego to podniesienie jej poziomu i możliwie największe rozszerzenie koła ludzi, korzystających z jej dobrodziejstw, ponimo było najpierwszem i jest zawsze najważniejszem zadaniem życia każdego narodu. Stara to już dziś prawda, choć ciągle jeszcze nie chcą jej uznać... Jeleńscy.

Czy jednakże w żydach szczególnie oświata budzi rzeczywiście uczucia *obywatelskie?* Czy antisemici, twierdzący, że to plemię nigdy uspołecznić się prawdziwie nie da, nie mają czasem, wbrew oderwanej logice, słuszności? Tylu wszakże widzimy naokoło siebie żydów wysoko nawet wykształconych, którzy żyją jedynie dla siebie, myślą wyłącznie o własnym interesie, dla których naród, ojczyzna, są tylko czczemi wyrazami, którzy nierzadko nawet nieprzychylnie dla nas są usposobieni? Tak, to prawda. Ale czy wśród nas samych mało jest ludzi, którzy poza ciasne granice swego osobistego życia, swego własnego domu, ani myślą, ani sercem nie wybiegają? A przytem, jak to dawno my sami chcemy w żydach widzieć swych braci? I czy chcemy szczerze wszyscy? Iluż z nas dziś jeszcze patrzy na żydów z pogardą, iluż z nas ciągle jeszcze nie przestaje drwić dotkliwie z nosów, uszów, chodu i manier żydowskich — uśmiechać się złośliwie, gdy życzliwy nam, pragnący zapomnieć o różnicy religii i rasy, żyd nazwie się polakiem? Przypomnij sobie czytelniku, ileś razy był świadkiem w szkołach, tych świątyniach

*) Gdy *Przegląd katolicki* zwrócił uwagę, iż zdanie to przeciwne jest nauce Chrystusa, butny zazwyczaj i „bezwzględnie niezależny“ antisemita, obawiając się utraty kredytu w pośród najniższej umysłowo warstwy naszego duchowieństwa, na której, po za zacofaną częścią średnich właścicieli ziemskich, głównie opiera się byt *Roli*, uderzył się pokornie w piersi i wytłomaczył, że wtedy jedynie sprzeciwiałby się doktrynom kościoła chrześciańskiego, gdyby twierdził, że żyd *nie może* być polakowi bratem, on zaś mówi tylko, że *nie będzie.* A więc, jeżeli *może* być, to może *będzie?* Nie, nie będzie stanowczo! — woła sławetny Aleksander... antisemicki warszawskiej kwestyi mięsnej.

*) „Bezwzględnie niezależny“ od wszelkich wiadomości, tak praktycznych jak naukowych, antisemita pomylił się i w tej swojej improwizacyi, wszyscy prawie bowiem znaczniejsi nasi kupcy-izraelici szkoły handlowe pokończyli, drobni zaś, zanim się wezmą do handlu na własną rękę, odbywają długą praktykę, w której zdobywają potrzebny zapas wiedzy fachowej. Naszym kupcom nie powodzi się nietylko dlatego, że pragną zbogacić się odrazu i obliczają swoje towary zbyt drogo, lecz więcej jeszcze dlatego, że się na nich nie znają i nie wiedzą, gdzie i kiedy najkorzystniej nabyć je można.

nowożytnych zjednoczenia i braterstwa wszystkich ludzi, jak młodzież chrześciańska pogardliwie nazywała swych kolegów żydów Szmulami, Srulami, Rebekami *), jak im przypominała „cebulę,“ jak, szydząc z ich religii, śpiewała im „majufes,“ jak obelżywie odtrącała wszelką chęć zbliżenia się, objawioną z ich strony. Czyż więc wobec tego mamy prawo wymagać, by ci sami żydzi, których najdelikatniejsze uczucia na każdym kroku boleśnie ranimy, na pierwsze nasze zawołanie wszystkich doznanych krzywd od razu nam zapomnieli i serdecznie nas ukochali? Oburza nas to, że żydzi nasi za bliższych sobie uważają swych współwierców obcej narodowości, niż nas, wśród których żyją i których ziemi chlebem się karmią, a nie chcemy zrozumieć, że sami stajemy się tego zjawiska przyczyną, zatruwając ten chleb goryczą pogardy i niechęci, z jaką go im podajemy.

(D. n.).

W. Wścieklica.

SĄD POLITYCZNY.

(Sprawozdanie urzędowe).

Od dnia 24 do 28 sierpnia st. st. petersburski sąd wojenny okręgowy rozstrząsał sprawę oskarżonych o zdradę państwa 14 osób, a mianowicie: szlachcianka Figner, córka księdza prawosławnego Czemodanowa, syn duchownego Niemołowskij, syn duchownego Surowcew, syn kupca Spandoni-Basmandżi, szlachcic Czujkow, syn kupca Iwanow, żona doktora Wolkenstein i dymisyonowani wojskowi: podpułkownik 39 pułku piechoty Aszenbrenner, sztabs-kapitan 9 brygady artyleryi Pochitonow, porucznik 28 brygady artyleryi Rogaczew, podporucznik 131 pułku piechoty Tichanowicz, chorąży korpusu szturmanów floty Juwaczew i dymisyonowany porucznik floty baron Stromberg. Sąd uznał wszystkich oskarżonych winnymi należenia do tajnego stowarzyszenia, mającego na celu obalenie istniejącego państwowego, społecznego i ekonomicznego porządku rzeczy drogą gwałtu. Działalność ta ujawniła się w całym szeregu zbrodniczych zamachów na życie zmarłego Monarchy, a także w szeregu morderstw i zamachów na życie dostojników państwa i urzędników, oraz innych przestępstw, których skutkiem było naruszenie państwowego porządku i publicznego spokoju. Oskarżona Czemodanowa uznana została za winną należenia do stowarzyszenia dążącego do wywołania przewrotu w mniej więcej oddalonej przyszłości bez uciekania się wszakże do środków gwałtownych. Figner była agentem komitetu wykonawczego przestępnego stowarzyszenia, brała udział w propagandzie wśród ludu w roku 1875, w demonstracyi przed soborem kazańskim dnia 18 grudnia 1876 roku, w przestępnych zjazdach w m. lipcu 1879 r. w zamachu na życie zmarłego Monarchy w zimie r. 1879 w Odessie, w przygotowaniach do wysadzenia w powietrze pociągu Cesarskiego w Moskwie, w przygotowaniu wybuchających przyrządów, użytych do spełnienia zbrodni dnia 1 (13) marca 1881 r., w organizowaniu w Petersburgu przestępnych kółek pośród robotników, w morderstwie w Odessie r. 1882 jenerał-majora Strelnikowa, w organizowaniu przestępnych kółek wśród armii według programu tajnego stowarzyszenia „Narodnoj Woli.“ Co do Iwanowa, wyjaśnionem zostało, iż rozszerzał w r. 1880 pomiędzy robotnikami gubernii kijowskiej rewolucyjne teorye, brał udział w organizacyi drużyn bojowych do wykonywania zamachów na życie dostojników państwa. Co do Tichanowicza, iż będąc naczelnikiem straży w więzieniu kijowskiem, wypuścił w dniu 17 sierpnia st. st. 1882 r. wymienionego wyżej Iwanowa, opatrzywszy go w odzież. Co do Wolkenstein, iż brała udział w zamordowaniu gubernatora charkowskiego Krapotkina. Co do Rogaczewa, iż w r. 1880 zawiązał stosunki z Żelabowem, Suchanowem i innymi, obmyślał u Suchanowa plan propagandy rewolucyjnej wśród armii, uczestniczył w ułożeniu ustawy propagandy wojenno-rewolucyjnej na zasadach stowarzyszenia *Narodnoj Woli*, rozpowszechniał w r. 1881 rewolucyjne zasady pośród wojska w Helsingforsie, po powrocie do Petersburga ukrywał u siebie kompromitujące przedmioty, powierzone mu wkrótce po wypadku dnia 1 (13) marca 1881 r. przez Suchanowa, odbył w r. 1882 z polecenia stowarzyszenia podróż do kraju północno - zachodniego, wchodził tam w stosunki z oficerami w celu utworzenia wojenno - rewolucyjnych kółek, zażądał w r. 1883 z porady Figner dymisyi, by się zająć organizacyą zbrodniczych szajek. Co do Pochitinowa, iż rozpowszechniał wydawnictwa rewolucyjne pośród oficerów artyleryi i akademii wojennej. Co do Stromberga, iż zawiązał stosunki z Suchanowem, Żelabowem i innymi, jeden z pierwszych wszedł jako członek do petersburskiego centralnego kółka wojenno - rewolucyjnego, w dniu 1 (13) marca 1881 r. znajdował się w mieszkaniu Suchanowa, uczestniczył w hektografowaniu proklamacyi z powodu zbrodni spełnionej w dniu powyższym, w usunięciu z mieszkania Figner przyrządów drukarni tajnej i zapasów dynamitu. Co do Aszenbrennera, iż organizował w r. 1882 w Mikołajewie kółko wojenno-rewolucyjne pośród oficerów pułku prazkiego, urządzał u siebie walne zebrania kółek rewolucyjnych oficerów wojsk lądowych i marynarki, wskazywał sposoby przestępnej propagandy wśród prostych żołnieży miejscowych pułków. Co do Juwaczewa, iż organizował z polecenia Aszenbrennera kółko wojenne rewolucyjne wśród oficerów marynarki w Mikołajewie i brał udział w połączeniu tego kółka z kółkiem pułku prazkiego. Co do Niemołowskiego, Spandoni - Basmandżi, Surowcewa, Czajkowa, Czemodanowej także są oddzielne punkty oskarżenia. Sąd skazał: Fignerową, Aszenbrennera, Rogaczewa, Pohitonowa, Stromberga, Juwaczewa, Tichanowicza, Wolkensteinową na karę śmierci przez powieszenie; Iwanowa, Niemołowskiego na zesłanie do robót ciężkich w kopalniach bez terminu, Czujkowa na lat 20, Surowcewa i Spandoni-Basmandżi na lat 15, Czemodanową do robót ciężkich w fabrykach na 4 lata. Wyrok został potwierdzony w dniu 5 (17) b. m. przez pomocnika głównodowodzącego wojskami okręgu petersburskiego z zamianą naznaczonej przez sąd kary Niemołowskiemu na zesłanie do robót ciężkich na lat 20, Czemodanowej na zesłanie do oddalonych miejscowości Syberyi. Najjaśniejszy Pan raczył łaskawie rozkazać zamienić karę śmierci dla: Figner, Pochitonowa, Aszenbrennera, Tichanowicza na zesłanie do robót ciężkich bez terminu, dla Wolkenstein, Juwaczewa na zesłanie do robót ciężkich na lat 15. Wyrok odnośnie Stromberga i Rogaczewa został wykonany w dniu 10 (20) b. m.

*) P. Jeleński, który do żadnych szkół nigdy podobno nie uczęszczał, a tem samem pomimo „zawiesistego wąsiska“ (tak sam się rysuje) stoi na umysłowym poziomie uczniów klas najniższych, nie zaniedbuje w *Roli* praktykować tego rozumnego i szlachetnego obyczaju nawet wtedy, gdy zuchwale łżonym do pięt nie dorósł.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komendantem Warszawy, w miejsce gen. Rozwadowskiego, mianowany został gen. Krok.

Uniwersytet. Katedrę języka rosyjskiego, opróżnioną po zmarłym Bergu, objął w uniwersytecie warsz. p. Kułakowskij z Bulgaryi.

Zwinięcie archiwów akt dawnych w Kielcach, Radomiu, Łomży i Kielcach nastąpi z początkiem roku przyszłego.

Sądy. W Poznaniu toczyła się sprawa przeciwko dr. Łebińskiemu, redaktorowi *Dziennika pozn.*, oskarżonemu przez p. Muraszkę, b. sędziego z Suwałk, o diffamacyę. Sąd odniósł się do ministeryum sprawiedliwości w Petersburgu z żądaniem objaśnienia, czy rzeczywiście p. Muraszko popełnił nadużycia, będąc w służbie rządowej.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu przesłało magistratowi warsz. projekt opieki nad terminatorami. Nadto rosesłało odezwy do właścicieli cukrowni w sprawie stacyj meteorologicznych a do prezesów Dyrekcyj szczegółowych w sprawie drobnego przemysłu.

P. Zimayer pojechała sobie do Berlina. Dzienniki tamtejsze brzmią od niej chór pochwał w najwyższych tonach, zestawiają to „powabne zjawisko“ obok Judic, a złożony jej hołd z *Hołdem pruskim* Matejki. Nawet *Nordd. Allg. Ztg.* nazywa ją „geniuszem, jakiego bardzo, ale to bardzo rzadko spotkać.“ I cóż robią nasze pisma, które jej niedawno za obrażenie ze sceny reportera wyprawiły taką kocią muzykę, że aż przerażona artystka musiała się bronić osobnym aktem skruchy w plakatach? Powtarzają głosy gazet niemieckich z zadowoleniem, że odnieśliśmy ważne zwycięstwo nad Spreą. Krytyka warszawska sądziła, że pani Zimayer jest ledwie znośną, berlińska powiada, że jest genialną; pytanie: komu w tej ostrej sprzeczności przypada tytuł trzeciego brata z bajki?

Koncert na dochód studentów Instytutu puławskiego miał niezwykłe powodzenie dzięki głównie udziałowi Modrzejewskiej, która wypowiedziała *Glossę św. Teresy* Krasińskiego, *Baśń tęczową* Asnyka i bajkę Mickiewicza. Oprócz niej przyjęli udział w koncercie: pp. Szymanowski, Wisnowska, Weychertowa, chlubnie odznaczona w kilku przedstawieniach śpiewaczka, Komierowski, kandydat do opery, wreszcie p. Friderici (fortepian). Orkiestrze teatralnej przewodniczył p. Münheimer.

Modrzejewska nie wystąpi obecnie na scenie warszawskiej, gdyż dyrekcya nie zgodziła się na jej warunki.

Pierwszy pociąg osobowy nowej kolei wileńsko-rówieńskiej przebiegł z inżenierami i technikami przestrzeń od Baranowicz do rz. Prypeci i do Wilna.

Towarzystwo ogrodnicze, liczące już 300 członków, zebrało się w czwartek na pierwsze walne zgromadzenie w Resurcie Kupieckiej.

Nauczyciele szkół ludowych w Krakowie nie dostali pensyi już za dwa miesiące. Bodaj to być pedagogiem w Galicyi!

Hołd pruski Matejki — jak donoszą dzienniki niemieckie—nie został nagrodzony medalem z powodu swej „szowinistycznej tendencyi.“ Za szowinizm ten należałoby ukarać nie malarza, lecz historyę.

Resursa obywatelska z klubu karcianego ma się zamienić na przybytek skromnej zabawy rodzin swych członków. A niechże to raz już się stanie, i niech Warszawa, na wzór miast zagranicznych, raz pozyska podobną instytucyę.

Na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych wisi dawniejszy szkic Matejki „Przybycie Światopełka pomorskiego na naradę książąt rozprawiających o zgubieniu go.“

Czytelnia akademicka w Krakowie zawiązuje się na nowo. Senat wszechnicy stawiał zrazu twarde warunki, żądał mianowicie wykluczenia wszelkich odczytów i dyskusyj (!) w lokalu czytelni i odmówienia w statucie słuchaczom pierwszego roku prawa nietylko wybieralności, ale i wybierania zarządu. Ostatecznie za pośrednictwem prof. Bobrzyńskiego senat ustąpił nieco, kładąc tylko za warunek, aby prezes czytelni był odpowiedzialnym za treść odczytów i dyskusyj, na co konstytuanta nowego towarzystwa przystała. Podanie o otwarcie czytelni odeszło już do namiestnictwa, a po przybyciu przychylnej odpowiedzi odrodzone stowarzyszenie żyć zacznie.

Jubileusz 25-letniej działalności autorskiej Michała Bałuckiego obchodziło krakowskie koło literacko-artystyczne uroczyście. Wzięły także udział sfery mieszczańskie—stańczycy usunęli się zupełnie.

Regulacya Prypeci Za pomocą systemu kanałów nazwy ks. Ogińskiego, Niemen połączony jest z rzeką Prypecią. Wskutek tego morze Baltyckie łączy się z Czarnem. Obecnie ministeryum skarbu wyznaczyło 2,500,000 rs. dla usplawienia rzeki Piny i przedłużenia jej zwanego Prypecią.

Muzeum narodowe w Krakowie — założone podczas jubileuszu Kraszewskiego — zostały otwarte dla publiczności. Mieści ono już około 200 obrazów i zabytków sztuki.

Zmiany wyznania w Krakowie wykazują ciągły przyrost katolicyzmu. Od 1 stycznia do 15 września pozyskał on: 26 żydów, 6 ewangelików, 1 mahometanina; stracił zaś tylko 1 osobę na rzecz kościoła luterańskiego.

Najwyższą nagrodę konkursową — 500,000 rs. — wyznaczył w r. 1833 hr. Arakczejew za najlepsze dzieło o Aleksandrze I. Suma ta spoczywać ma w banku rosyjskim do 1 grudnia 1925 i wtedy wynosić będzie 1,950,000 rs.

Nowy dziennik — konserwatywny — ma powstać we Lwowie. Złożono już 60,000 złr. Redakcyę obejmie... p. L. Masłowski. A więc *Listy do*

przyjaciela zaczynają się opłacać! Oby tylko opiekunowie dziennika, wsypawszy litościwie do żłobu 60.000, nie powiedzieli: ani grosza więcej!, lecz, tak jak patronowie *Czasu*, zapewnili: zjecie to — dosypiemy. W takim tylko razie warto było przechodzić z wiary postępowej na konserwatywną i pisać.... *Listy do przyjaciela.*

Kasa zaliczkowo-wkładowa kolei Nadwiślańskiej była przedmiotem narady swych członków na drugiem zebraniu. Zobowiązali się oni poręczyć solidarnie bezterminową i bezprocentową pożyczkę (12,000 rs.), nadto postanowiono stopę procentową od wkładów ¼% i od pożyczek ½% miesięcznie. Kwestyę możności poręczania pożyczek przez osoby do kasy nienależące oddano do rozpatrzenia radcy prawnemu.

Ciekawe. *Koresp. płocki* pisze. „Jak tylko w swoim czasie ogłosiły niektóre z pism naszych o wykryciu przez Szajnochę i Bielowskiego ze źródeł niemieckich, Bolesława króla polskiego, panującego po Mieczysławie Gnuśnym, cały świat naukowy polski bardzo się tem odkryciem dziejowem zajął, a niektórzy z badaczów przeszłości, przeglądając kroniki, znaleźli wzmianki o tym Bolesławie, ale nie dowierzali z Naruszewiczem, czy rzeczywiście istniał wspomniony Bolesław i czy panował? Teraz, jak się dowiadujemy, po długich szperaniach po dyplomatach, powieść się miało ks. Ignacemu Smoleńskiemu, kanonikowi katedralnemu i dziekanowi płockiemu, w dokumencie autentycznym wynaleść, że istotnie po Mieszku Gnuśnym panował w Polsce Bolesław (odkryty), po nim Śmiały III, a dalej Krzywousty IV itd. Obszerniejszy opis tego faktu z dołączeniem kopii dokumentu autentycznego, wkrótce będzie ogłoszonem w jednem z pism warszawskich." Przyznajmy, że niezbyt to pochlebiałoby naszym historykom, gdyby teraz dopiero odkryli jednego więcej króla.

W muzeum Ossolińskich we Lwowie popełniono kradzież 25 przedmiotów. Szkoda rzeczowa (kruszcze i kamienie) — nie mówiąc o wartości skradzionych przedmiotów artystycznej i pamiątkowej — wynosi przeszło 2000 zlr. Rabusiów niewyśledzono dotychczas.

Złodzieje zaczęli już gospodarować na wodzie. W tych dniach napadli i obrabowali dwu rybaków na Wiśle a jednego z nich ciężko ranili. Ziemia już dla nich za szczupła.

[illegible] pierwszorzędny pisarz chorwacki, o którym p. [illegible] w *Kłosach* pisze raz, że jest redaktorem [illegible], na innem zaś miejscu, że „dzielnie piastuje" godność podprezesa Komitetu [illegible] — zmarł, niestety, ale z całą pewnością, przed [illegible] laty.

Siła przekonania. Dr. Pettenkofer, [illegible] z Virchowem i Kochem niedawno przedstawiliśmy czytelnikom naszym, oświadczył, że gotów jest zjeść bakterye choleryczne przyrządzone mu przez Kocha, tak nie wierzy w ich szkodliwość. Zastrzegł sobie tylko, ażeby mu tę potrawę podano w miejscu, gdzie nie ma zarazy.

Atak na spódnicę. Anglia zawrzała walką o zmianę ubrania kobiecego, a zwłaszcza o usunięcie spódnicy i zastąpienie jej spodniami (przepraszamy za ten wyraz panie, które wymawiając: *jajecznica* — dodają: za pozwoleniem). Dotąd wszakże agitacya nie osiąga skutków, bo działa — morałem. Trzeba dowieść kobietom, że w pewnem ubraniu będą wyglądać młodziej i piękniej, a włożą na siebie nawet skórę jeżozwierza kolcami do ciała.

Zmarli: **H. Wodzicki w Krakowie.**

— J. Kirchmann, filozof niemiecki, wydawca i komentator starych mistrzów, w Berlinie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

S. List daleko lepiej nam myśli i uczucia pańskie wytłomaczył, niż wiersz, a nawet wypowiedział je z większą mocą. Co do nadesłanego urywka, treścią swoją nie liczy on się z warunkami publicznego słowa. Wogóle, sądząc z trzech dowodów, zachęcamy Pana do pisania wierszem lub prozą, gdyż w próbach znaleźliśmy kilka dobrze wróżących znaków siły umysłowej. Tymczasem zaś radzimy unikać zbyt gwałtownych wybuchów, zbyt ulewnych złorzeczeń i zbyt „zgęszczonych barw jaskrawych." Za dużo bowiem — *fortissima.*

P. A. J. Sęk. Prosimy o przybycie do redakcyi.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Октября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.